

WIAS

tygodnik społeczno-literacki

Rok X

Warszawa, dnia 22 listopada 1953 r.

Nr 47 (433)

HILARY MINC

Sens naszej polityki gospodarczej (Fragment przemówienia, wygłoszonego podczas dyskusji na IX Plenum KC PZPR)

JEST rzeczą jasną i zrozumiałą dla wszystkich, że nadmierna dysproporcja między przemysłem a rolnictwem i pozostawanie rolnictwa w tyle stały się hamulcem dla podniesienia stopy życiowej, dla podniesienia i dalszego rozwoju całej naszej gospodarki. Z tego względu pilnym, najważniejszym, niecierpiącym zwłoki zadaniem jest przyspieszenie tempa wzrostu produkcji rolnej, podniesienie tej produkcji.

Podnosić produkcję rolną można rozmaitymi drogami. Jest droga podnoszenia produkcji rolnej, podnoszenia w cudzoziemstwie, która się nazywała tzw. „produkcją dla produkcji”. To była droga, która usiłowała uzyskać wzrost produkcji rolnej przekreślając nasze podstawowe zadanie klasowe i polityczne. Była to droga gomulowszczyzna. Zwolennicy tej drogi mówili: nie zakładaj spółdzielni — wtedy chłop będzie rozwijał produkcję. Zwolennicy tej drogi mówili: dać kulałowi luz, nie ściągaj z niego dostaw, nie ściągaj z niego większych podatków, nie ograniczać jego wyzysku w stosunku do biedoty, pozwolić mu brać takie ceny jak chce, za produkty rolne. Zwolennicy tej drogi mówili: — niech kulał produkuje i niech kulał wyżyje. Ta droga była złudna, jeżeli chodzi o oczekiwane rezultaty produkcyjne. Wiemy bowiem, że kapitalistyczny rozwój wsi wielkiego wzrostu produkcji dać nie może; okres Polski międzywojennej, Polski kapitalistycznej, sanacyjnej — najlepiej to udowodnił. Ale to nie jest najważniejsze. Ta droga była z gruntu fałszywa i kapitulanka, prowadziła ona do wyswobodzenia i wzmocnienia sił gospodarczych i politycznych kulałki, do faktycznego zrywania sojuszu robotniczo-chłopskiego i oddawania mas chłopskich pod komendę kulałki. Prowadziła ona, gdyby jej nie ukręcono łba, do tego, że kulał nam by łeb ukręcił.

Partia nas odrzuciła tę drogę, najpełniej wyrażoną w gomulowszczyźnie, rozgromiła „teorię” tej drogi.

Czy znaczy to, że nie ma już u nas niebezpieczeństwa z prawa, że tu i ówdzie pod naciskiem kulałki i na tle fałszywego i opacznego zrozumienia hasła o wzroście produkcji nie będą się pojawiały jakieś nawroty i nawroci? Nie, nie znaczy. Takie niebezpieczeństwo istnieje, w stosunku do tego niebezpieczeństwa trzeba zachować czujność, a wobec wszelkich możliwych nawrotów drogi „produkcji dla produkcji” i wyswobodzenia sił kulałki, zwłaszcza na tle obecnej sytuacji i obecnych zadań, trzeba zawsze trzymać proch w stanie suchym.

Była i druga fałszywa droga, droga awanturniczo-lewacka, droga sekciarska. Faktycznie zwolennicy tej drogi w tej czy innej formie głosili: w gospodarstwach indywidualnych nie ma rezerwy, a więc natychmiast albo prawie natychmiast — masowe współdzielnie, a więc natychmiast albo prawie natychmiast — likwidacja kulałki jako klasy.

Co to oznaczało? Oznaczało to oczywiście tworzenie spółdzielczości drogą administracyjną, przez podpatywanie zasady dobrowolności, bez politycznego i organizacyjno-ekonomicznego przygotowania.

Ta droga wyrażała się takim powiedzonkiem: „im gorzej — tym lepiej”, co miało oznaczać: im gorzej z produkcją w gospodarstwach indywidualnych — tym lepiej dla rozwoju spółdzielczości produkcyjnej. Ta droga była oczywiście złudna jeżeli chodzi o produkcję, bo nie ma mowy o prawdziwym rozwoju produkcji w spółdzielczości tworzonej bez przekonania, bez organizacyjnej podbudowy, bez pociągnięcia za sobą mas małych i średniolnych chłopów i bez wywołania u nich przełomu. Musiałaby ta droga prowadzić do karykaturalnych, nieżywych spółdzielni, dających spadek produkcji i doprowadziłyby do spadku produkcji rolnej w ogóle.

Ale najważniejsze jest to, że taka droga prowadziła do zerwania sojuszu robotniczo-chłopskiego, do oderwania od mas małych i średniolnych chłopów i wbrew „lewym” pozorom, wbrew rekomendacji ostru skierowanemu w kulałki, taka droga wzmocniłaby kulałki.

Partia fałszywą „teorię” rozgromiła i dalej gromi wszelkie jej przejawy. Świadczy o tym szereg innych decyzji partii. Ale czy to znaczy, że niebezpieczeństwa tej drogi sekciarsko-lewackiej, awanturniczej już nie istnieją? Nie, takie niebezpieczeństwa istnieją. I wobec tych niebezpieczeństw, tak jak wobec prawicowych, oportunistycznych niebezpieczeństw trzeba trzymać proch w stanie suchym.

Wobec tych dwóch błędnych dróg — jaka jest droga partii? To jest droga, o której mówił w swoim referacie towarzysze Bierut, to jest droga bolszewickiej walki na dwa fronty: przeciwko prawicowemu kapitulantstwu i prawicowemu niebezpieczeństwu i przeciwko lewackiemu awanturnictwu i lewackiemu sekciarstwu.

Partia wskazując te drogi mówi: istnieją rezerwy w gospodarstwach indywidualnych. Trzeba pomagać małym i średniolnym chłopom w rozwoju produkcji ich gospodarstw. Trzeba rozwijać jednocześnie sektor socjalistyczny, rozwijać spółdzielczość produkcyjną i umacniać PGR. Trzeba ograniczać, a nie likwidować kulałki, trzeba wzmocniać ochronę małych i średniolnych gospodarstw przed wyzyskiem kulałkim.

Ta droga, droga partii, przewija się we wszystkich partyjnych dokumentach od sierpnowego i wrześniowego Plenum PPR do mocno i jasno sformułowanych wytycznych VII Plenum PZPR.

Na obecnym IX, przedjazdowym Plenum, kiedy się robi rachunek zysków i strat, trzeba jasno powiedzieć, że mieliśmy słuszną generalną linię polityki partii na wsi. Jest to niewątpliwie zysk. Zysk, który należy zapisać na dobro całej partii, jej kolektywu kierowniczemu — Komitetu Centralnego z towarzyszem Bolesławem Bierutem na czele.

Oczywiście, że prócz zysków — są i straty. Są straty, i nawet poważne straty i o nich trzeba mówić.

Nie umieliśmy dostatecznie skoncentrować się na przeprowadzeniu praktycznym w życiu tej słusznej generalnej linii partii i nie umieliśmy — jak to się mówi w tezach — z dostateczną ostrością doprowadzić

do świadomości organizacji partyjnych decyzji VII Plenum, nie umieliśmy praktycznie i konkretnie wprowadzić w życie słusznych decyzji VII Plenum w kierunku osiągnięcia większego wzrostu produkcji rolnej zarówno w gospodarstwach indywidualnych, jak i poprzez dalszy rozwój sektora socjalistycznego.

Były tu obiektywne przyczyny — wielki wysiłek w budowie ciężkiego przemysłu, ważne zadania polityczne. Te obiektywne przyczyny utrudniały koncentrację sił i środków na odcinku rolnictwa w szczególności koncentrację kadry i ludzi, których ilość jest ograniczona. Ale rzecz jasna, byłoby błędne sprowadzić sprawę tylko do obiektywnych przyczyn. Były i subiektywne przyczyny i bardzo dużo subiektywnych przyczyn.

Np. jest rzeczą niewątpliwą, że moglibyśmy dzisiaj mieć lepsze wyniki w zakresie produkcji maszyn rolniczych. Czy jest rzeczą normalną, że z 6 tys. inżynierów, którzy pracują w Min. Przemysłu Maszynowego, tylko 72 pracuje w fabrykach maszyn rolniczych? Czy można było dać więcej inżynierów z tych sześciu tysięcy do fabryk maszyn rolniczych? Można było. Czy można było mieć tam lepsze laboratorium, sprzęt pomiarowy, lepszą organizację? Można było. Czy winien jest tu resort przemysłu maszynowego? Winien niewątpliwie, ale nie tylko resort przemysłu maszynowego. My wszyscy potrafiliśmy temu resortowi pomóc rozwinąć produkcję działów o wiele trudniejszych niż maszyny rolnicze. Jeśli więc nie potrafiliśmy pomóc mu w rozwinięciu produkcji dostatecznej liczby nowoczesnych maszyn rolniczych, to znaczy, że niedostatecznie koncentrowaliśmy na tej sprawie naszą uwagę i nasze wysiłki.

Ważnym zagadnieniem materiałów budowlanych. Mówi się o przydziałach materiałów budowlanych. Te przydziały są małe. Ale czy są normalne te fakty, o których opowiadali towarzysze z woj. poznańskiego i z woj. łódzkiego, kiedy to przydziały leżały w spółdzielniach, a podać chłopów się nie rozpatruje? To już nie jest obiektywna przyczyna, lecz jest to wynik faktu, że na sprawie zaopatrzenia wsi w materiały budowlane nie była dostatecznie skupiona uwaga centralnych i terenowych organizacji i władz.

Z rachunku zysków i strat muszą powstać przedjazdy wnioski. Te przedjazdy wnioski to są tezy. To jest konkretyzacja wytycznych VII Plenum i twórcze ich rozwinięcie w nowej międzynarodowej i wewnętrznej sytuacji, to jest dalszy krok naprzód w tej dziedzinie, oparty nowym roztępieniem sił i środków w kierunku wzmocnienia rolnictwa.

Na czym polega sens naszej polityki gospodarczej na wsi, ujętej w tych tezach?

Będziemy umacniać PGR, rozwijać w nim mechanizację, budownictwo gospodarcze i mieszkalne i ulepszać organizację.

Co to da? Co to powinno dać? Szybki wzrost produkcji w PGR.

Tezy przewidują rozbudowany system bodźców dla rozwoju spółdzielczości produkcyjnej i jej umocnienia. Na czym ten system bodźców polega? Polega on na pomocy w budowie pomieszczeń dla społecznego inwentarza, na zwrocie wkładów inwentarowych spółdzielcom w tym samym roku, kiedy się je wnoszą, na wprowadzeniu norm dostaw od spółdzielni w sposób przewidujący ich wzmożone materialne zainteresowanie w rozwoju produkcji, na radykalnej poprawie pracy POM, które przecież obsługują spółdzielnie, i o których pracy zależą wyniki spółdzielni. Co to powinno dać? To powinno dać umocnienie istniejących spółdzielni i szybszy wzrost spółdzielczości produkcyjnej. Czyli — tezy oparte są na założeniu, że system inwestycji i uruchomionych bodźców działa na szybszy wzrost sektora socjalistycznego na wsi.

A wewnątrz sektora indywidualnego? Tezy przewidują ulgi w dostawach obowiązkowych przede wszystkim dla małych i średniolnych. Tezy przewidują szeroką kontraktację. Po co? Żeby podnieść hodowlę i żeby umożliwić rozwój produkcji małych i średniolnych gospodarstw.

Tezy przewidują rozwój kredytów. Dla kogo? Dla małych i średniolnych chłopów. Po co? Żeby mogli oni zakupić inwentarz, rozszerzyć budownictwo gospodarcze, podnieść produkcję. Czyli co przewidują tezy? Przewidują one, że niezależnie od szybkiego wzrostu sektora socjalistycznego wewnątrz sektora indywidualnego będzie się rozwijała produkcja gospodarstw małych i średniolnych przy spadku względnym, niekoniecznie absolutnym — produkcji kulałkiej.

Co to powinno dać? Umocnienie naszych pozycji jako sektora socjalistycznego i naszych pozycji klasowych na wsi.

A jak z kulałkami? Tezy mówią wyraźnie: polityka ograniczenia, a nie likwidacji. Pewnie że przy polityce ograniczenia mogą zajść wypadki, że pewne słabsze ogniska kulałki mogą podpaść gospodarczo. Ale to jest tylko produkt uboczny procesu ograniczania.

Skoro mówimy o ograniczaniu kulałki — to trzeba pamiętać, że ograniczanie odbywa się nie tylko przez podatki, nie tylko przez obowiązkowe dostawy, ale jednym z podstawowych źródeł ograniczania jest ograniczenie możliwości wyzysku. A jak można ograniczyć możliwości wyzysku? Przez dawanie małym i średniolnym gospodarstwom możliwości niezależności się od kulałki w drodze otrzymania pomocy państwa. Czy mówią o tym tezy? Mówią. Zadanie polega na tym, żeby z kierunkowe nastawienie tej praktycznie rozpracować, tak żeby GOM, żeby inne nasze organizacje mogły w coraz większym stopniu pomagać biedocie w niezależności się od kulałki.

Czyli — jaki jest sens naszej polityki gospodarczej na wsi? Sens polega na tym, ażeby w okresie najbliższych lat uzyskać wzrost produkcji rolnej, przy poważnym wzroście sektora socjalistycznego na wsi, przy poważnym wzroście produkcji spółdzielni produkcyjnych i PGR, przy wzmocnieniu ekonomicznym gospodarstw małych i średniolnych i przy względnym spadku udziału kulałki w produkcji i dalszym politycznym izolowaniu kulałki na wsi. Taki jest sens naszej polityki gospodarczej na wsi.

W NUMERZE:

D. GALAJ — Do miczurinowców ziemi olsztyńskiej. I. ERENBURG — O pracy pisarza. P. GUZY — Kulak, P. LESZAK — Sytuacja w Trzebie. T. ATKINS — Nietrudne zagadki. S. KAMINSKI — U nas i u nich, J. KOZŁOWSKI — Pieśń nad pieśniami rewolucji. J. LITWIN — Na szlaku sprawy chłopskiej. E. STRITTMATTER — Tinko. J. KRAUSOWA — Pieśniarz polskiego Wybrzeża. T. KARPOWICZ — Nad radziecką rzeką. B. LIPINSKA — W trosce o twórczość ludową. R. HŁADKO — Znachor czy lekarz. A. BUREK — O właściwym kierunku natarcia. T. ŚLIWINSKI — Zaniedbana dziedzina. S. KRAKOWIAK — Wiejskie księgarnie. J. JELONEK — Na temat muzeów postępu społecznego. W. JAŻDZYŃSKI — Podróż służbowa.

STANISŁAW FASULA

Rady i projekty

W GMINIE ŻŁOTNIKI KUJAWSKIE

Referat tow. Bieruta i Tezy Przedjazdy wydobycia na wsi już teraz największą rezerwę, a niedosć dotąd uruchomioną — obywatelską krytykę i inicjatywę społeczną.

Nie ma bowiem gminy, nie ma gromady bez kielków społecznej inicjatywy. IX Plenum niesie im deszcz i słońce, wybijają przeto jak nigdy dotąd. W naszej gminie Żłotniki Kujawskie (woj. bydgoskie) mamy przeważającą ilość łąk — około 1300 ha. Ale te łąki są zapuszczone i hamują rozwój hodowli bydła. A przecież u nas ziemia pod uprawę dobra na pszenicę, jęczmień, buraki, oleiste i warzywa. A przecież u nas większość średniaków. Ziemia dość daje, aby odłożyć coś na inwestycje łąk i na nich rozwinąć hodowlę, a przez to dochód własny podnieść.

W roku 1949 kierownictwo wodno-melioracyjne ofiarowało swą pomoc gromadzie Dziemianną, skorzystał z niej niestety tylko jeden chłop W. Dorabiał. Otrzymał trawę mieszaną, nawozy sztuczne i traktor do żarania. Na 1,5 ha w pierwszym roku posiadał magazyny, ale superflak ulokowała na wolnym powietrzu, przez co 50% fosforu ulotniło się. Taką to politykę prowadzi GS w stosunku do naczelnej uprawy — zbożowych. I to gdzie: w województwie bydgoskim, które obok poznanińskiego nazywa się producentem chleba.

W sprzedaży towarów GS — również nie wykazuje ruchliwości i dbałości. Wózek dziecięcy upchano w magazynie nawozów sztucznych zamiast wystawić je w sklepie. Nawozy wyżyły nikiel, pokrzyły go rdza, chłopci więc kupują wózki w Inowrocławiu; tam też jeżdżą po butle do wina, bo GS zmagazynował je wśród nawozów i nie mogą ujrzyć światła dziennego.

Krytyka na naradzie społecznej wykazywała wiele innych jeszcze błędów. Wskazuje tutaj tylko na ich charakter i poważne zagrożenie dla nowych o ilej większych i bardziej wszechstronnych zadań, jakie przed GS-ami staną. W tej krytyce idzie o naprawienie aparatu spółdzielczości zbytu i zaopatrzenia i przygotowanie

razem z aktywistami wygrać sprawę łąk, sprawę hodowli.

Krytyka Obywatelska! Do takiej pobudza nas IX Plenum. Jak ją rozumiem? Weźmy za przykład GS w naszej gminie. Z tego co zapowiadają Tezy, wynika, że do GS-ów napływać będzie szeroki strumień środków pomocy dla produkcji rolnej — nawozy, nasiona, ziarno selekcyjne, maszyny, narzędzia, materiały budowlane, gospodarski oraz artykuły domowej potrzeby. Pod wpływem referatu Tow. Bieruta rozumnie chłopci powiadają: GS musi zmienić styl pracy, skończyć z biernością i obojętnością dla produkcji. I gdyby zwołano w gminie naradę aktywistów politycznych i produkcyjnych rolników dyskusja dałaby nie jałową, a z tworzącą krytykę. Spółdzielnia gminna zakupiła 3 tony soli bydlęcej i zmagazynowała ją między azotem a siarczanem amonu. Skutek? Bydło i trzoda chlewna choruje po tak przyprawionej soli. Tak to aparat GS dba o wykonanie planu na odcinku hodowli. Spółdzielnia posiada magazyny, ale superflak ulokowała na wolnym powietrzu, przez co 50% fosforu ulotniło się.

Taką to politykę prowadzi GS w stosunku do naczelnej uprawy — zbożowych. I to gdzie: w województwie bydgoskim, które obok poznanińskiego nazywa się producentem chleba.

W sprzedaży towarów GS — również nie wykazuje ruchliwości i dbałości. Wózek dziecięcy upchano w magazynie nawozów sztucznych zamiast wystawić je w sklepie. Nawozy wyżyły nikiel, pokrzyły go rdza, chłopci więc kupują wózki w Inowrocławiu; tam też jeżdżą po butle do wina, bo GS zmagazynował je wśród nawozów i nie mogą ujrzyć światła dziennego.

Krytyka na naradzie społecznej wykazywała wiele innych jeszcze błędów. Wskazuje tutaj tylko na ich charakter i poważne zagrożenie dla nowych o ilej większych i bardziej wszechstronnych zadań, jakie przed GS-ami staną. W tej krytyce idzie o naprawienie aparatu spółdzielczości zbytu i zaopatrzenia i przygotowanie

go do zapewnienia wzrostu produkcji rolnej i zaspokojenia potrzeb codziennych ludności gminy. Dlatego trudno pominąć ocenę kierownictwa naszego GS. Ob. Bronisław Pluciński, z zawodu majster kominiarski, dopóki na niego pracowali ludzie, trzymał koncesję, kiedy przestali na niego robić, koncesję oddał, a sam raczył zostać prezesem GS. Gminną spółdzielnię przebudujemy tak, aby służyła sprawie produkcji i wykazywała troskę wobec potrzeb chłopów, ale nie obojędnie się bez usuwania pracowników, którzy okazali bezduszność i lekceważenie chłopów-producentów, którzy prowadzą społeczny handel ze stratami i ze szkodą dla rolnictwa i konsumentów.

I w GS chcemy mieć działacza, oddanego sprawie. A takich już dziś nie trzeba szukać ze świecą. Znajdziemy ich łatwo wśród sumiennych, patriotycznych, oświeconych chłopów.

Opinia publiczna domaga się, jak w gromadzie Palczyn, zdjęcia ze stanowiska prezesa koła ZSCH — St. Andrysiaka. Dlaczego? Szwankuje odstawia buraka cukrowego, którego my powszechnie i w dużej ilości produkujemy. Winna cukrownia w Tunie, nie dostarczyła wagonów wg planu.

Ale winien również Andrysiak, mąż zaufania w kontraktacji buraka, który nie dopilnował transportu i zawiódł plantatorów; zawiódł też gromadę, jako prezes ZSCH, nie wywiązując się z planu skupu. Zalega z ub. roku 160 kg zboża, w bieżącym — 3541 kg; w ziemniakach 525 kg. A w lipcu kontrola przeciwpożarowa wykryła u niego na strychu za kominem tonę zmagazynowanej maki na spekulację.

Tacy „prezisi” do niczego dobrego by nas nie doprowadzili. W pracy nad podniesieniem produkcji, kiedy dla nich produkcja rolna nie wiele ma wspólnego z potrzebami miast, sojuszem robotniczo-chłopskim i rozwojem dobrobytu całego narodu — odegrają oni najwyżej rolę hamulca.

Stanisław Fasula
Nieszczevice

EDWARD HOŁDA

LIST BYŁEGO PREZESA GS

Widzisz, bracie, ja od dawna kradłem, w tym remiście jestem zaprawiony, na pewno.

Po polach się uganiałem za jadem, kluczyłem, zapadałem w zagony, zdobywałem, co dawało się zdobyć: rzepe, marchew pastewną, bobki.

Cóż tobie, tyś tego nie przechodził; wy inaczej jesteście młodzi.

Wyście się o skibkę chleba nie biali; ja zjem.

Wam się w łada karmelku nie jawiły dzwiny Australii; palmy móż południowych; Ameryki, Azje.

Dlatego ściałem słodczyce ze straganów kramarzy: był to mój deser szczęścia po czczości surowych jarzyn; dlatego, nie pytaj więcej czemu.

Ale ty się oburzasz; ty byś ukrąść nie mógł, bo wstyd, bo to ambicji przeczy, bo honor i inne rzeczy.

Widzisz, bracie, jednak z ciebie sto pociech; i ja te myśli miałem; uciekły dziurami w kapocie.

Taka i moja młodość: ozłówek pościł, tyrał, dawał ze siebie wszystko, brał niedolę w zamian.

A teraz — wzięcie. Przywalił mnie wyrok. Uciekłeś po rozprawie. Umknąłeś się z mych ramion.

Śluchaj, bracie, musimy być szczerzy: przez ciebie to nieszczęście. Nie wierzysz?

Uczy się młodszy, większe dla niego prawa: dla młodszego teatr i odczyt, dla młodszego wystawa, ty już niczym nie będziesz a młodszy to przyszyły inżynier.

Tak matka zawsze mawiała. Ja jej nie winię.

Zły nie jestem. Obydwoje mnie znacie, Ale zawiść trawiła mnie, bracie.

Ty, matka. Żyłem jakby o kulach. No, a dobro spółdzielni moje. Bo czyż?

Pomyślałem sobie: pohulał. Tyle chociaż radości: popiję.

I puszczałem wspólne dobro, kochani, sami wiecie w jakiej kompanii.

Matka czy fartuchem obetrze, a ty krzykniesz zapalczywie: nie wierzi! Jak zbutwiała wierzbą w czystej rzece prawda się odbije w twoim gniewie!

Biedniackie pochodzenie to przecież nie fotel, gdzie się można rozprześć ojczyźnie na chwałę!

Opuściłem się. Zaniedbałem robotę. Z dokształcania sztydziłem. Karłalem.

Wytykano mi: nie tędy! Zawracaj! Nie słuchałem. Bracie, twoja jest racja, bo nie roślem, nie roślem, a mogłem!

Kiedys to może i wystarczało: żarliwość i nagan.

Dziś — mało.

Pięścią w księgowości nie za wiele wskórasz,

Potrzebna jest wiedza. Kultura.

Droży moł, znośnie mi tu, choć gorzko. Osiem godzin w kopalni. Uczciwa zapłata. Później listy piszę albo siadam z ksząką.

Miną te dwa lata.

Wybacz, matko, ślepe było synowskie uczucie. Ty zaś, bracie, ucz się dalej, dobrze ucz się, a jeśliś w ZMP o mnie opowiadał bez litości nazwij mój postęp: zdrada.

Edward Hołda

STEFAN KAMIŃSKI

U NAS I U NICH

Dokonana przed tygodniem obniżka cen młodych wszelkiego rodzaju artykułów została przyjęta z dużym uznaniem przez masę pracującą Polski Ludowej. Uchwała Rady Ministrów, która jest szczególnie korzystna dla chłopstwa pracującego, jest dziś przedmiotem żywych komentarzy we wsiach naszego kraju i głębokiego zadowolenia chłopów.

Obniżka cen świadczy, jakie dobrodziejstwa wypływają dla człowieka pracy z faktu, że nasze państwo ludowe jest czynnikiem regulującym stosunki na rynku towarowym. Rolę tę państwo może z powodzeniem spełnić przede wszystkim dzięki temu, że w kraju naszym prawie cały przemysł jest dziś uspołeczniony. W odróżnieniu od świata kapitalistycznego, gdzie przemysłowcy organizują produkcję w sposób, który by im zapewnił jak największe zyski, w Polsce Ludowej — celem, przyswajającym całej pracy kierownictwa naszego przemysłu — jest troska o zaspokojenie rosnących potrzeb ludności kraju. Toż w miarę jak współzawodnictwo socjalistyczne oraz entuzjastyczna praca pracowników i racjonalizatorów przyczynia się do powszechnego wzrostu wydajności pracy, a co za tym idzie — do obniżenia kosztów własnych produkcji, państwo nasze może obniżyć ceny wyrobów przemysłowych. To z kolei przynosi ze sobą bezpośredni i natychmiastowy wzrost stopy życiowej mas ludowych.

Państwo ludowe może być regulatorem cen na rynku również dlatego, że skupia ono w swych rękach skup i dystrybucję przeważającej części produkcji rolnej. Ta rola państwa ludowego nie podobna się oczywiście kulakom i spekulantom, którzy chcieliby ująć w swe ręce zarówno skup produktów rolnych, jak i zaopatrzenie ludności w większej w towary przemysłowe. W taki sposób mogliby oni dyktować ludziom pracy wyrubowane ceny i tuczyć się kosztem robotników i chłopów pracujących.

W tym celu kulacy głoszą ideę panowania „wolnego rynku”. Wmawiają oni łatwowiernym ludziom, że w świecie kapitalistycznym ceny ustalają się rzekomo drogą wolnej konkurencji na rynku. A to — jak kulacy twierdzą — jest niby nader korzystne dla ogółu chłopów...

Jak rzecz się ma jednak w rzeczywistości?

Wzmyślny dla przykładu największe państwa kapitalistyczne, Stany Zjednoczone.

Istnieje tam 5 mln. gospodarstw, z których ponad 4 miliony — to gospodarstwa małych i średnich rolników. Farmerzy ci nie mają jednak bezpośredniego wpływu na ceny wyrobów rolnej, ponieważ, że w kraju dolara nie ma wolnego rynku.

W miastach i miasteczkach Stanów Zjednoczonych nie ma targów chłopskich. Skup, przetwarzanie i hurtowa sprzedaż żywności skoncentrowana tam jest w rękach nielicznych wielkich towarzystw akcyjnych. Tak np. 4 potężne firmy skupują prawie cały żywiec we wszystkich zakątkach kraju, przetwarzają go w swych rzeźniach i dostarczają całemu krajowi mięso, kielbasę, tłuszczy i konserwy mięsne. Kilka innych multimilionerskich spółek monopolizuje handel zbożem, produkcję pieczywa, skup owoców, warzyw itd.

Pozbawiony możliwości sprzedaży swych produktów komukolwiek innemu — przeciętny farmer musi się godzić z cenami, dyktowanymi mu przez monopolistyczne towarzystwa.

Oto charakterystyczne przykłady. Za buszel (około 30 kilogramów) pszenicy farmer dostawał jeszcze przed rokiem 1,77 dolara, a dziś dostaje już tylko 1,15. Za funt wołowy monopolistyczne spółki płaciły farmerowi w zeszłym roku 25 centów, a dziś zaledwie 16,5 centa. Jeszcze gorzej rzecz się ma w okolicach dotkniętych w tym roku posuchą. Pozbawione skrupułów monopole wykorzystują tam zwiększoną podaż ze strony zrujnowanych farmerów, sprzedających masowo swe bydło. W okolicach tych farmer dostaje dziś tylko 5 centów za funt wołowy, to znaczy 5 razy mniej niż w ubiegłym roku.

W pogoni za maksymalnymi zyskami, monopolistyczne spółki handlowe zmuszają konsumenta w miejsce do placenia coraz wyższych cen za produkty, które skupiły u farmerów za bezcen. Tak np. cena bochenka chleba wzrosła w ostatnich miesiącach w całym kraju z 18 do 20 centów.

Ograbiając bezlitośnie zarówno produkujących artykuły żywnościowe farmerów, jak i nabywających je robotników, wielkie spółki żywnościowe bogacą się coraz bardziej.

Według oficjalnej statystyki USA, w 1946 roku farmerowi przypadało w udziale przeciętnie po 54 centy z każdego dolara, który gospodni w miescie wydaje na żywność. Coraz bardziej okrutny wyzysk farmerów przez monopole sprawił jednak, że obecnie farmer dostaje już tylko 44 centy z dolara. Reszta to znaczy 56 centów z dolara, idzie do kas wielkich spółek kapitalistycznych, pośredniczących między farmerem a nabywcą żywności.

PAWEŁ LESZAK

SYTUACJA W TRIEŚCIE

PRZED kilku laty miałem okazję spędzić dzień w Trieście, położonym na pograniczu Włoch i Jugosławii. Dzień ten wrył mi się dobrze w pamięć, obfitował bowiem w różne niespodzianki.

Już w pierwszej chwili, gdy wychodziłem z dworca, zaskoczył mnie niepowzvedni widok dwóch pokazanych czołgów, manewrujących na przyległym do stacji placu. Lufy ich dział skierowane były prosto na przylegające opuszczające dworzec. Na tymże placu tu i ówdzie grupki żołnierzy angielskich krzątały się wokół ciężkich karabinów maszynowych, również gotowych do powitania przybyszów ogniem.

Gdziekolwiek się w Trieście znalazłem, spotykałem wojskowych w angielskich i amerykańskich mundurach. Dowiedziałem się, że w mieście tym, liczącym 270 tysięcy mieszkańców, stacjonuje blisko 50 tysięcy żołdaków armii USA i Wielkiej Brytanii. Co 5 minut mijają jakiś patrol dowodzony przez okupantów policji, składający się z notorycznych faszystów włoskich i jugosłowiańskich. Ciężko uzbrojone patrole surowym i podejrzliwym wzrokiem badały każdego przechodnia.

Amerykańskie i angielskie wozy pancerne pędziły w diabelskim tempie głównymi arteriami miasta. W swych wieżyczkach czołgisi obracali działa w różnych kierunkach, co wywoływało wszędzie panikę. Za każdym razem, gdy ukazał się jeden z tych samochodów pancernych, cywile na ulicy przyspieszali kroku, by zbiec w jakąś uliczkę, lub skryć się w jakimś sklepie. Wzbudzenie ludzi i rzućane przez nich pod adresem nieproszonych gości przekleństwa świadczyły aż nadto dobitnie, jak ludność Trieści odnosi się do terrorizujących ją najeźdźców.

Nad gmachami publicznymi Trieści powiewały flagi mocarstw zachodnich. W porcie było sporo zaokrąglonych okrętów wojennych państw anglosaskich. Druty kolejczaste i posterunki obcych wojsk zamykały mieszkańcom dostęp do wielu ulic. Miejsca ludność — Włosi i Słowianie — odczuwali na każdym kroku, że są jakby w oblężonym mieście.

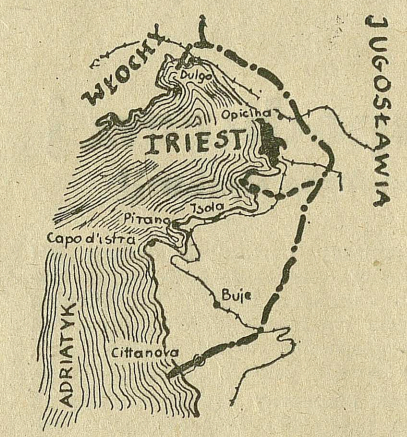
Na murach Trieści rozlepione były afisze, w których angielskie władze wojskowe usiłowały uzasadnić okupację miasta, leżącego aż tak daleko od brzegów Anglii i USA. Z afiszów tych wynikało, że okupacja „chroni” mieszkańców od... wzajemnego wy mordowania się. Afisze zapewniały, że włoskich i słowiańskich mieszkańców Trieści dzieli rzekomo głęboka nienawiść, wobec czego rozpętany przez okupantów terror jest po prostu „jedynym ratunkiem”...

Co prawda, idąc na rękę imperialistom, miejscowe organizacje titowców i skrajnej prawicy włoskiej organizują od czasu do czasu burzliwe demonstracje, podczas których rzućane są hasła szowinistyczne. Ale w demonstracjach tych uczestniczą małe grupki ludzi. Szerokie zaś masy ludzi pracy, Włochów, Słowenów i Chorwatów, współżyją ze sobą w całkowitej zgodzie.

Nazajutrz pojechałem statkiem z Trieści położonego w okupowanej przez Anglo-Amerykanów strefie A, do miasteczka Capo d'Istria, mieszczącego się w okupowanej przez wojska jugosłowiańskie strefie B wolnego obszaru Trieści. Miejsca ludność ma prawo poruszania się w obu strefach. W mieszanym tłumie pasażerów było więc sporo zarówno włoskich robotników i rybaków, jak i powracających z targu chłopów słoweńskich i chorwackich.

Na otwartym morzu, z dala od wojsk okupacyjnych, prosi ludźle różnych narodowości brateli się swobodnie. Chorwackie dzieci o linianych włosach i włoskie dzieci

o śniadej cerze bawiły się razem na pokładzie w ciuciubabkę. Brneci łacińskiego pochodzenia flirtowali z jasnowłosymi Słowenkami. Starsze małżeństwa obu narodowości częstowały się nawzajem kanapkami i owocami. Na dziobie pokładu liczna grupa młodzieży śpiewała na przemian włoskie i południowo-słowiańskie pieśni ludowe. Przypatrując się życzliwym stosunkom tych prostych ludzi, każdy doszedłby do wniosku, że problem Trieści został



by szybko rozwiązany, gdyby wojska okupacyjne opuściły te strony, a ludność sama zorganizowała swe życie.

Sytuacja w Trieście jest po dziś dzień taka sama. Jest ona w jawnej sprzeczności z podpisanym przez 21 państw traktatem pokojowym z Włochami. W myśl tego traktatu miasto Trieści i otaczający je mały rejon rolniczy miały stać się Wolnym Obszarem Trieści. Tekst traktatu pokojowego gwarantuje miejscowej ludności podstawowe prawa demokratyczne, własną demokratyczną konstytucję oraz prawo do kierowania całym życiem Wolnego Obszaru. Zwierzchni nadzór nad lokalnymi władzami miał piastować mianowany przez Radę Bezpieczeństwa ONZ gubernator, który miał też dbać o to, by Wolne Terytorium pozostało neutralne i zdemilitaryzowane. Wreszcie po 135 dniach od chwili objęcia swych funkcji przez gubernatora, anglo-amerykańskie i jugosłowiańskie wojska okupacyjne miały być wycofane z całego terenu Trieści.

Traktat pokojowy z Włochami obowiązuje od 15 września 1947 r. Przypisy tego traktatu dotyczące Trieści nie zostały jednak wprowadzone w życie. Miejsca ludność nie korzysta z obiecywanych jej swobód demokratycznych. Nazwa „Wolne Terytorium” jest właściwie fikcją, gdyż obce wojska panoszą się tam, jak w swej kolonii. Triest nie jest też ani neutralny, ani zdemilitaryzowany. Wręcz odwrotnie, imperialiści przekształcili te tereny w swą bazę wojenną.

Okupacja Trieści oddziaływała bardzo ujemnie na życie gospodarcze tego miasta. Port Trieści, największy na Morzu Adriatyckim, jest dziś wykorzystywany zaledwie w 60 procentach i to głównie dla potrzeb wojsk anglosaskich. Wielkie stocznie Trieści świecą pustkami. Większość miejscowych fabryk pracuje po 2 — 3 dni w tygodniu. W mieście, które było ongiś nader ożywionym ośrodkiem handlowym i komunikacyjnym, życie gospodarcze stopniowo zamiera. Imperialiści odcieśli bowiem Triest od świata i pozabawili go jego tradycyjnej roli portu tranzytowego dla wymiany towarowej między Wschodem i Zachodem Europy.

W rezultacie znaczna część miejscowych robotników pozostaje bez pracy, a upadek stopy życiowej robotników daje się też we znaki sklepikarzom i chłopom, którzy nie znajdują zbytu na swe produkty.

Jugosławia titowska i rządząca we Włoszech reakcja klócą się wciąż o Triest. Pogrożki pod adresem sąsiedniego państwa i historyczne żądania przyłączenia Trieści do własnego terytorium obliczone są na rozpętanie szowinistycznych nastrojów wojennych i na odwracanie uwagi ludu Włoch i Jugosławii od katastrofalnej sytuacji gospodarczej, w jakiej się te kraje znajdują. Celem poparcia agitacji wojennej, mocarstwa zachodnie, negując traktat pokojowy, obiecują zarówno Włochom, jak i Jugosławii tę lub inną część Wolnego Obszaru. W każdym bądź razie Waszyngton zamierza utrzymać tu swą bazę wojenną. Potwierdził to przed paru tygodniami na konferencji prasowej amerykański minister spraw zagranicznych, John Foster Dulles.

Pretekstem do zachowania obecnego stanu rzeczy w Trieście jest fakt, że Rada Bezpieczeństwa dotychczas nie mianowała gubernatora Wolnego Terytorium. Związek Radziecki zaproponował w ostatnich 6 latach wiele kandydatów, zostali one jednak przez mocarstwa zachodnie odrzucone. A gdy następnie ZSRR zgodził się na kandydatów poprzednio wysuniętych przez Stany Zjednoczone, Waszyngton przeciwstawił i swym własnym kandydatom. Słowem, podżegacze wojenni, dążący do anulowania niewygodnego dla nich traktatu pokojowego z Włochami, sprzeciwiają się mianowaniu gubernatora, bo nie chcą wycofać swych wojsk z Trieści, który przekształcił w dużą bazę strategiczną.

Od dwóch miesięcy sytuacja na granicy włosko-jugosłowiańskiej jest stale napięta. Po obu stronach granicy odbywa się koncentracja wojsk. Czołowi przedstawiciele obu sąsiednich państw wygłaszają prowokacyjne mowy. Spór o Triest zagraża pokojowi w tej części Europy. Ostatnie oświadczenie rządów USA i Anglii, że zamierzają przyłączyć strefę A do Włoch, nie licząc się z opinią pozostałych kilkunastu sygnatariuszy traktatu pokojowego, dołalo przyszłowiśnemu olśnieniu.

W trosce o odprężenie w stosunkach między wszystkimi państwami, rząd radziecki ostatnio zażądał ponownego omówienia sprawy Trieści przez Radę Bezpieczeństwa i ostatecznego mianowania gubernatora Wolnego Terytorium. Ale reakcyjna większość członków Rady Bezpieczeństwa, ulegając żądaniom USA, odczekała debatę nad tą kwestią.

W samym Trieście sytuacja zaostrza się z dnia na dzień. Przed dwoma tygodniami okupanci anglosascy spowodowali tam krwawe zajęcia. Zamordowali dziesięciu obywateli miasta, zranili paruset i przewiezli do szpitali liczne aresztowania. Czołgi wciąż suną ulicami Trieści. Nasłani przez imperialistów żołdacy zjeżdżają się nadal nad spokojnymi mieszkańcami.

Nieszczęśliwa ludność Trieści zniosła w ostatnich latach mnóstwo cierpień po to tylko, by imperialiści utrzymali tu swą bazę wojenną i aby kłoda rządzących Włoch i Jugosławii mogły wnieść w swych ludach ducha nienawiści wobec innych narodów. Jakże odmiennie ułożyłoby się życie w Trieście, gdyby obce wojska wyniosły się stąd i gdyby został tu zastosowany opracowany przy udziale Związku Radzieckiego i Polski Ludowej traktat pokojowy z Włochami! Jakże odmiennie wyglądałoby wszystko w Trieście, gdyby miejscowa ludność mogła, zgodnie z traktatem pokojowym, urządzić swe życie według własnego uznania.

Paweł Leszak

MIR-DŻALAL

KAJMAK*)

W SZYSTKO, co dawała Mochbalemu jego jedyna krowa, sprzedawał — tak jak i przed rewolucją — Meszadi-Mochsunowi, chociaż wiedział, że władza radziecka, która obdarzyła bezrolnych chłopów ziemią, nie była życzliwie usposobiona do sklepikarzy.

Odzienne rannem Mochbali zlewał zgęstniały w ciągu nocy kajmak do miedzianego kociołka, nakrywał go chustką i odnosił na stację do sklepu Meszadi-Mochsuna. Czynność tę uważał Mochbali za najważniejsze zadanie całego dnia. Zabierając się do wyjścia, Mochbali przypominał sobie czasem, że żona kałała mu kupić zapalki lub imbir.

— Meszadi — mówił zmieszany, biorąc zapalki lub imbir — przepraszam, że cię niepokoję: jak wygląda teraz nasz rachunek?

Meszadi-Mochsun pociągał z cybuchą, mrużył jedno oko i odwracając się do ściany, zaczynał liczyć na palcach i stuknąć na liczydłach. — Wygląda to tak, — mówił powoli, namyślając się, — jak przyniesiesz jeszcze jeden kociołek kajmaku, rachunek nasz się wyrówna. Ale to nic. Nie jesteś przecie, chwała Bogu, obcy.

Mochbali wyrażał zgodę:

— Więc powiadasz: jeden kociołek?

— Tak, tylko jeden.

— No, to dobrze.

*) Opieczetowali sklepik!

Mochbali postąpił jeszcze przed sklepem kilka minut, po czym zaczął przechadzać się w pobliżu, pytając przechodniów: co się stało z Meszadi-Mochsunem? Gdzie się podział? Odpowiedzi brzmiały:

— Meszadi-Mochsun oszukiwał na wadze.

— Nie płaćli podatków.

— Na pewno uciekł, albo siedzi w więzieniu.

— Co zrobić? Przecież kajmak może się zepsuć.

Po długim namyśle i wahanach wrócił do domu i stawiając kociołek na kominku, zadumał się.

— Co się stało? — zapytała żona.

— Znowu nie przyjął? Czegoś on chce, jeżeli taki wspaniały kajmak jeszcze mu się nie podoba?

Mochbali opowiedział żonie, że Meszadi-Mochsun już nie ma, że jego sklep zapieczetowano.

Żona słuchała ze zdziwieniem.

— No, i pał go diabli! — zawołała. — Dobrze, że opieczetowali! Nie ma się czego martwić!

— Jakże się nie martwić, skoro nie mogłem dostarczyć mu jego kajmaku?

— A powiedz mi: dlaczego nasz kajmak od tak dawna stał się jego kajmakiem? Niech kamień spadnie na jego głowę! Nie bierze, to tym lepiej!

Po tych prostych słowach żony, jakby zasłona spadła sprzed oczu Mochbalego.

Przecież oczywistym jest, że kajmak należy do niego, Mochbalego, a nie do Meszadi-Mochsuna. Krowa jest jego własnością, pasie ją jego syn, kajmak przyrządza jego żona.

Pasza na zimę dla krowy rośnie na polu uprawianym przez niego; na tym właśnie polu rośnie zielona, jak szmaragd, lucerna, którą on sam kosi własną kosą...

Jak się jednak dotychczas działo, że wszystek jego kajmak trafiał do sklepu Meszadi-Mochsuna?

I oto po raz pierwszy w życiu Mochbalemu zaczęło się rozjaśniać w głowie. Mochbali przejrzał...

W jaki to sposób sklepikarz nie nie robiąc, stał się współnikiem chłopów do ich plonów? Jakim prawem sklepikarz wyciągał ręce po plony, wyprodukowane chłopską pracą? Po bawelne, po pszenicę, po węgny? Wyciągał ręce nawet po perkal, wyprodukowany przez robotników w fabrykach.

Teraz dopiero Mochbali zrozumiał, dlaczego władza radziecka opieczetowała prywatne sklepi i surowo karze tych, co obdzierają i oszukują chłopów!

— Zono, nakryj do stołu! Nalej herbaty! — powiedział Mochbali stanowczym głosem, stawiając na stole kociołek z kajmakiem.

Mochbali posadził syna obok siebie i zagarniając łyżką kajmak, to sam go jadł, to podawał Nadirowi.

— Jedz synku, jedz! Wiedz, chłopcze, że lepsze czasy nadeszły!

— Ale skąd dostaniemy imbiru — zapytała żona Mochbalego — gdy sklep Meszadi-Mochsuna zamknięty?

— A po co ci imbir?

— Pomaga mi na bóle żołądkowe — odpowiadała.

— Nie obawiaj się. Gdy codziennie rano zjesz sobie kajmaka do woli, nie będziesz miewała bóli. Zapewniam cię. Niech sobie Meszadi-Mochsun sam pije swą herbatę z imbiru. Bądźmy wdzięczni władzy radzieckiej! Dzięki niej otworzy się nam oczy! Nareszcie znalazł się prawdziwy właściciel kajmaku!

Przekład z rosyjskiego

Henryka Kronmana

TOMASZ ATKINS

NIETRUDNE ZAGADKI

KIEDY Francuz staje się cudzoziemcem nie opuszczając swego kraju?

Z taką zagadką zwrócił się do publiczności świetny piosenkarz francuski Yves Montand. I niedługo czekał na odpowiedź. Dla większości zapytanych rozwiązanie zagadki okazało się łatwe.

— Francuz staje się cudzoziemcem we własnym kraju kiedy wkracza na teren bazy amerykańskiej — brzmiała odpowiedź.

„US PROPERTY — ENTRY FORBIDDEN” — „Posiadłość amerykańska — Wstęp wzbroniony” — tablicę z takim napisem są znane we wszystkich krajach Europy zachodniej. Znaczą one granicę amerykańskich instalacji portowych, lotnisk, obozów wojskowych. Gdy Anglik lub Francuz, Belg lub Holender, Włoch czy Duńczyk wejdą na teren takiej „posiadłości amerykańskiej” — stają się cudzoziemcami we własnej ojczyźnie; nie stosują się już do nich prawa krajowe, mogą być sądzeni i karani według praw amerykańskich.

Skąd się wzięły bazy amerykańskie w Europie zachodniej? Jakim celom służą?

Pierwsze swoje bazy w Europie Stany Zjednoczone uzyskały podczas ostatniej wojny światowej dla walki przeciwko Niemcom hitlerowskim. Niemcy hitlerowskie zostały pokonane, wojna skończyła się, ale Amerykanie baz nie opuścili. Przeciwnie: jak powiada przysłowie, apetyt wzrasta podczas jedzenia. Od czasu zakończenia wojny liczba baz amerykańskich w Europie zachodniej podwoiła się: z blisko 500 skończyła na przeszło tysiąc, obejmując ostatnio również Hiszpanię frankistowską i faszystowską Grecję. Bazy, które miały służyć walce z hitleryzmem i wyzwoleniu narodów, stały się bazami amerykańskiej okupacji i przyczółkami odbudowy agresywnego militarystycznego Niemiec.

Bo jaki jest cel istnienia amerykańskich baz w Europie zachodniej? Amerykańska propaganda stara się przedstawić je, jako urządzenia obronne. Ale co by pomyśleli ci sami Amerykanie, gdyby np. Związek Radziecki zbudował bazy „obronne” w Meksyku lub Kanadzie, tuż nad granicą Stanów Zjednoczonych? W istocie bazy amerykańskie są bazami służącymi do przygotowania agresji wojennych. Zostały one rozmieszczone — jak stwierdził amerykański generał lotnictwa Arnold — „w najlepszych punktach wypadawych”. „Z baz amerykańskich — powiedział wojowniczy generał amerykański — w każdej chwili można zbombardować każdy punkt globu ziemskiego”.

Bazy amerykańskie — to jednocześnie niezwykle silny środek nacisku na rządy tych krajów, w których stacjonowane są garnizony amerykańskie. Trudno mówić o pełnej suwerenności państwowej, jeśli rozliczne „posiadłości amerykańskie” tworzą w kraju jak gdyby „państwo w państwie”. Trudno mówić o samodzielnej polityce, gdy mini-

ster angielski nie ma prawa wejść do bazy amerykańskiej w Anglii bez otrzymania przepustki od amerykańskiego sierżanta, jeśli — jak na to wskazywała nawet prasa burżuazyjna — Amerykanie mogą rozpętać wojnę ze swych baz w Wielkiej Brytanii nawet nie informując o tym rząd angielskiego.

Dalej. Bazy amerykańskie — to podstawa wszelkich planów agresywnych, to najmocniejsze zaplecze dla zachodnio-niemieckich rewizjonistów i awanturników. Militarysty niemieccy czują się pewni mając poparcie w militariatach amerykańskich, zadomowionych w zachodnio-europejskich bazach. Czyż nie jest charakterystyczne, że pierwsza szkoła i baza broni atomowej w Europie zachodniej utworzona została przez Amerykanów właśnie w Oberammergau, w Niemczech zachodnich? I czyż nie ma swej głębokiej wymowy fakt, że na mocy układu o „armii europejskiej” oddziały neo hitlerowskiego Wehrmachtu będą miały prawo stacjonować w bazach amerykańskich w KAŻDYM z krajów Europy zachodniej?

Bazy amerykańskie stanowią groźbę dla pokoju i bezpieczeństwa świata, dla suwerenności i niezależności narodów. I dlatego w swej ostatniej nocy do trzech mocarstw zachodnich rząd radziecki proponuje m. in. rozpatrzenie sprawy tworzenia przez Stany Zjednoczone baz na obszarze innych państw. Jest bowiem rzeczą zrozumiałą, że bez likwidacji tych baz agresji, nie do pomysłenia jest rzeczywiste odprężenie międzynarodowe.

Te propozycje radzieckiej prasy burżuazyjna na Zachodzie uporczywie przemilcza, gdyż żadnych argumentów przeciwko temu znaleźć nie może. Ale nie może ona pominąć milczeniem faktu stałej rozbudowy baz amerykańskich, stalego zwiększania garnizonów amerykańskich w krajach podporządkowanych Stanom Zjednoczonym. Na każdym kroku mieszkanki Anglii, Francji, Włoch czy jakiegokolwiek innego kraju Europy zachodniej wciąż widzą hałaśliwych, rozpychających się żołdaków imperializmu amerykańskiego. Lecz to, że widzą ich codziennie, nie znaczy bynajmniej, że się do nich przyzwyczaili. Wręcz przeciwnie: przedłużająca się obecność nieproszonych gości wywołuje coraz głębszą niechęć i coraz ostrzejsze protesty mas ludowych w całej Europie zachodniej.

I dlatego też Yves Montand niedługo musiał czekać na odpowiedź, gdy — poza wspomnianym już pytaniem — postawił drugie pytanie: kiedy Amerykanie wywiną się z Francji?

— Przedzł niż przypuszczają — padła odpowiedź zapytanych patriotów francuskich.

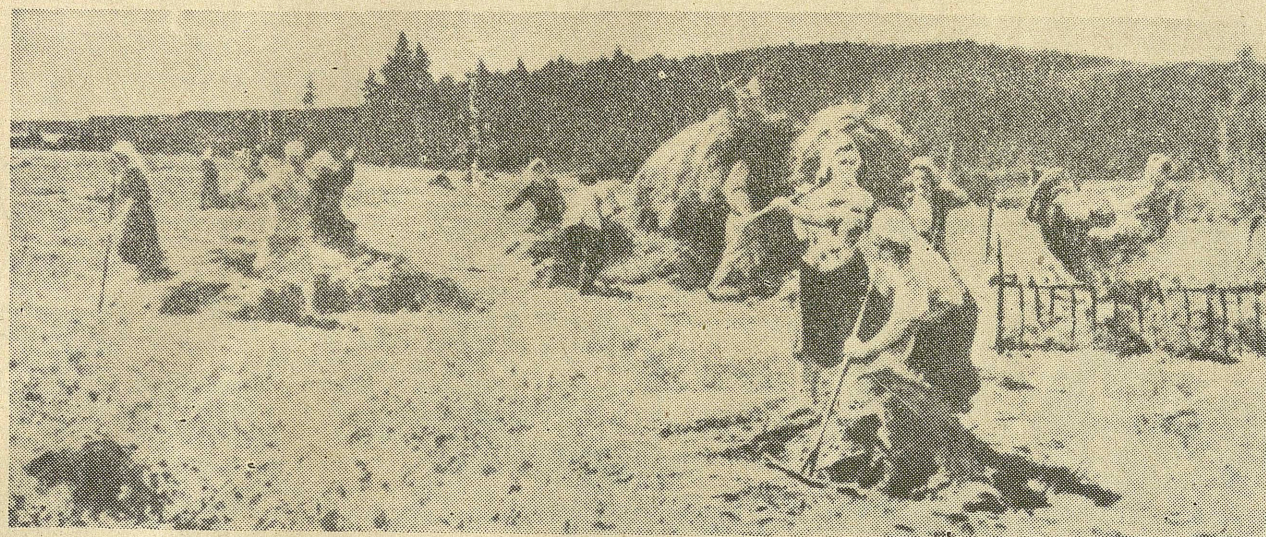
Odpowiedz ta ma zastosowanie nie tylko do Francji.

Tomasz Atkins

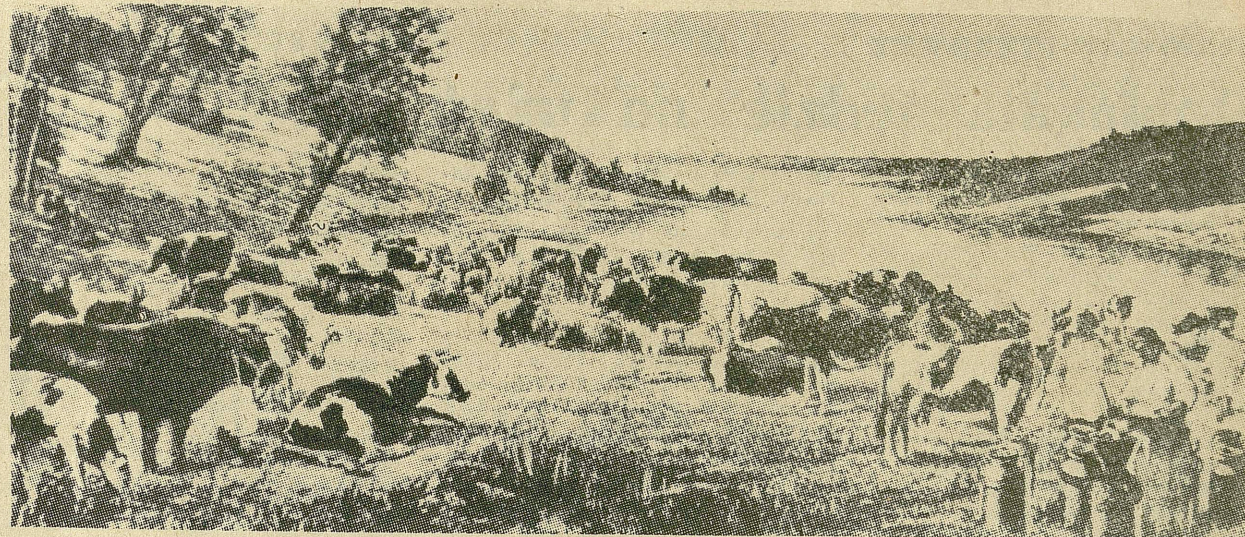
Mir Dżalal (Paszejaw) urodził się w roku 1908 w Kirwanadzie. Pierwsze jego opowiadania ukazały się w roku 1929. Następnie Dżalal napisał powieści „Człowiek zmartwychwstał” i „Manifest młodego człowieka”.

Podczas wojny Mir-Dżalal wydal kilka tomów opowiadań, w których ukazał heroiczne zmagania ludu azerskiego z tureckim. Po wojnie napisał głośną powieść „Moi rówieśnicy”.

*) Kajmak; zgrzeszone, prażone w piecu mięso.



B. Komitowski



N. Sokolowska

DYZMA GAŁAJ

DO MICZURINOWCÓW ZIEMI OLSZTYŃSKIEJ*)

PRZODUJĄCY chłopi, mądrzy gospodarze, jeśli stanął przed Wami burzaczynny uczonek i powiedział — „Nie wyciągniesz więcej ze swojej gleby, nie wydoisz więcej z krowy” — czy nie odpowiedziałbyście mu dziś: „Niech pan nie oszukuje, panie profesorze! Wyciągnę więcej z gleby, wydoję więcej z krowy, wyhoduję brzośkwinię — jeśli tylko będę miał odpowiednie do tego środki, odpowiednią ilość nawozów, odpowiednie narzędzia, odpowiednie ziarno; i wydobędę jeszcze więcej, jeśli wzrosnie moja wiedza rolnicza, jeśli poznam potrzeby i wymagania mojej pszenicy, czy krowy, jeśli poznam prawa rozwoju organizmu tych roślin, które uprawiam i organizmu tych zwierząt, które hoduję w stajni, oborze, chlewni i kurniku. Postęp w rolnictwie jest bowiem zjawiskiem stałym i uwarunkowanym jedynie naszą wiedzą rolniczą i środkami, którymi dysponujemy w naszych pracach”.

Czyż nie tak odpowiedziałbyście burzaczynnym oszukańcy profesorom wy, obywateli Stanisławie Boguto z Filipówki pow. Kętrzyński? Wszak Boguta udowodnił swoją praktykę, że przyroda nie jest bynajmniej skąpa, jeśli wie się, jak zmusić ją do służenia ludziom. Boguta posiał na odlogach len. Dzięki mądrej i odpowiedzialnej pielęgnacji osiągnął z 1 ha — 41 q. W tym czasie u sąsiadów z powodu suszy i pchełki plon wyniósł 1,5 do 3 q z 1 ha.

Czy, inna jest przyroda dla Boguty, a inna dla jego sąsiadów? Czy dla Boguty jest matka, a dla sąsiadów macocha? Nie. Tajemnica tkwi w tym, że Boguta jest mądrym rolnikiem, a jego sąsiedzi jeszcze nie osiągnęli jego poziomu. A przyroda? Cóż, przyroda, jak i maszyna: albo umieści się z nią obchodząc — i wtedy służy ci gor-

liwie i wiernie, albo jest nieczuła i obojętna na twoje prośby — gdy nie wiesz, jak z nią poczynać i czym ją sobie zjednać.

A czy wy, ob. Boguto, uważacie, że już osiągnęliście pułap w urodzaju lnu, że już nie da się wyciągnąć więcej z ha? Wiem, że odpowiecie: „W przyszłym roku na pewno wyciągnę więcej”. Jakże ma Boguta odpowiedzieć inaczej, jeśli już w bieżącym roku na poletkach doświadczalnych w swoim polowym laboratorium osiągnął: na pierwszym poletku — 10,5 q z ha, na drugim — 35 q, na trzecim — 56 q, a na czwartym — 80 q. Gdzie tu górny pułap dla lnu? W miarę jak będzie rosła rolnicza wiedza Boguty, wzrosnie wydajność lnu, pszenicy, buraków cukrowych, wzrosnie też mleczność krow i t.d.

Nie inaczej w praktyce rozprawa się z reakcyjną teorią o rzekomo malejącej wydajności gleby. Golar z Kiersztanowa w pow. mrągowskim; dzięki pracom doświadczalnym kółka miczurinowskiego w jego wsi doszedł on w bieżącym roku do 700 q buraka cukrowego z 1 ha. Powiedzieć nam, ob. Golar, czy założył ręce na brzuchu i nie zaatakujecie przyrody, by dała nam jeszcze więcej niż 700 q z 1 ha? Na pewno zaatakujecie! Gdzież więc dla Golar i kółka miczurinowców z Kiersztanowa skapstwo przyrody? Gdzie dla nich górny pułap, którego nie da się przekroczyć?

Czy ob. Józef Ejsmunt z Czarnej Wsi w pow. białostockim uwiary w bzdurę o zmniejszającej się wydajności gleby, jeśli po doświadczeniach łąkowych sprząta dziś z kawałka łąki 6 wozów siana, podczas gdy przed doświadczeniami sprzątał, co najwyżej dwa? Czy to przyroda była wtedy skąpa dla Ejsmunt? Nie. Wiedza o potrzebach życiowych trawy była u niego niewielka. Poprawiła się wiedza, zmieniły się zabiegi pielęgnacyjne, zmienił się plon. Przyroda słucha Ejsmunt i służy mu.

Burżaczynna teoria, głosząca, że ziemia w Polsce nie chce rodzić, upodobała sobie jako przykład dowodowy ziemię kurpiowską; 7 — 10 q zboża z ha to „norma” kurpiowska. A Bolesławowi Samulowi ziemia ta daje już 18 — 20 q z ha. To nie przypadek, nie kaprys przyrody, lecz mądrość i zapobiegliwość Samuła osiąga na stosunkowo li-chej ziemi kurpiowskiej tak dobre wyniki.

Niech przyjdzie taki zwolennik teorii o skapstwie przyrody do Jana Marko z Kontowa w pow. kwidzińskim i powie, że przyroda jest skąpa i dlatego nie można sprzątać tyle ziemniaków, ile potrzebują ludzie w okolicy, czy w kraju. Wtedy Marko powie: „Głupstwa pan pleciez, jeżeli bowiem będę miał środki, jakie według moich doświadczeń potrzebne są do dobrej uprawy ziemniaków, podejmuję się osiągnąć nie 90, czy 120 q z 1 ha — jak to ma miejsce u większości chłopów — ale sprzątnę 300 — 350 q, a nawet więcej. Nie wierzyście? W bież. roku na poletkach osiągnąłem: gatunek „Pionier” — 360 q z 1 ha, „Bałtyk” — 410 q, „Bem” — 450 q, „Deser” — 480 q, „Dar” — 530 q. Jeszcze trochę doświadczeń, a mogę mieć takie wyniki nie na poletkach, ale w praktyce na wielkich obszarach.

II

Utarło się tu i ówdzie niesłuszne przeświadczenie, że miczurinowcem jest ten, kto potrafi osiągnąć pozytywny wynik z krzyżowania r.p. marchwi z koprem, pszenicy z żytem, ziemniaka z pomidorem, lub chrzanu np. z tulipanem. Przeprowadzenie krzyżowania roślin różnogatunkowych jest oczywiście rzeczą bardzo ważną — i nie powinno się go lekceważyć nawet w wypadku, jeśli takie uświadczenia nie zostały uwiecznione pozytywnym rezultatem.

O wiele jednak ważniejszą sprawą na dzisiejszym etapie naszego rozwoju jest rozważanie takich spraw, które mogą trwać i stale podnosić urodzajność gleby, plen-

ność roślin, zwiększenie ich urodzaju, uszlachetnienie odmian dzia-ających uprawianych roślin, doskona- nie wydajności zwierząt, ich zdro- wia, plenności, oszczędności ludz- kiej pracy, doskonałości maszyn i narzędzi rolniczych, doskonałości jakości surowców roślinnych i zwierzęcych. Miczurinowcem w tym ujęciu — jest ten, kto w ja- kikolwiek sposób przyczynia się do opracowania metod, przy pomocy których trwale możemy zwiększać wzrost wydajności gleby, roślin i zwierząt.

I jeszcze jedno: ten rolnik, jest miczurinowcem, który podnosząc plon na swoim gospodarstwie, swój pomysł, swoje doświadczenie sprawdza w szerokiej praktyce rolniczej, który uczy innych swo- je metody, przyczynia się w całej gromadzie do podniesienia urodzaj- ności gleby, plenności roślin, ich plonowania, do zwiększenia pro- dukcyjności zwierząt, do przyspo- rzenia im zdrowia, do podniesienia jakości produkcji itd.

III

Nie ma takiej gromady, nie ma takiej spółdzielni produkcyjnej, której pola byłyby takie same. Każde więc z nich wymaga swoistej uprawy. Należy zatem wypróbować, jakie to zabiegi dają na dan- ny polach najlepszy plon. Nie- słychanie ważnym zadaniem w ba- daniach miczurinowców jest robie- nie doświadczeń uprawowych, wy- ciągnięcie wniosków dla praktyki rolniczej w swojej wsi. Miczurin- owcy powinni wybrać najlepszy sposób uprawy, wypróbować go na wielu polach produkcyjnych i w końcu — powszechnie zastosować.

Inny, ważny temat. Co robić, by nasze płaszczyste gleby (dotyczy to większości powiatów woj. olsztyń- skiego i białostockiego), lepiej niż dotychczas rodziły i dawały coraz lepsze ziarno. Jest to zagadnienie niesłychanie dużej wagi. Czy moż- na to osiągnąć? Oczywiście. Wszak na piaszczystych polach, o li- chych urodzajach oglądamy piękne, o soczystej zieleni ogrodki. Znaczy to, że przez umiejętne sto-

sowanie kompostu z obornika, tor- fu, chwastu i wapna — można znacznie podwyższyć jakość gleby i osiągnąć na niej kilkakrotnie wyższy urodzaj okopowych czy zbóż. Dlaczego kompost spotyka się tylko u ogrodnika, dlaczego w Białostockiem, czy Olsztyńskiem niewie- lu rolników stosuje taki świetny nawóz, jakim jest torf — mimo, że u nas torfu w wielu okolicach jest pod dostatkiem? To są przecież re- zerywy, które mogą w znacznym stopniu podnieść produktywność na- szych gospodarstw chłopskich, są to rezerwy, o uruchomieniu któ- rych mówił w Szczecinie B. Bie- rut.

Równie ważna dla naszych pół- nocy terenów jest sprawa bazy paszowej. Jest rzeczą powszechnie wiadomą, że województwa olsztyń- skie i białostockie, a w dużym stopniu i woj. gdańskie, stanowią teren, na którym ma się rozwinąć przede wszystkim gospodarka ho- dowalna. Państwo nasze czyni ol- brzymie inwestycje zmierzające do przygotowania warunków do tego typu gospodarki. Osiągnięcia są już duże. Wystarczy wspomnieć, że dotychczas w Białostockiem prze- prowadzono meliorację na obszarze 27 tys. ha łąk; że już zagospodarowa- no 22 tys. ha nie użytkowanych przedtem bagien; że projektuje się i prowadzi gigantyczne prace me- lioracyjne w dorzeczu Biebrzy; że nakłady inwestycyjne na meliora- cję wzrosną w 1955 r. o 70 proc. w porównaniu z 1953 r.

Działalności Państwa musi wyjść naprzeciw twórcza inicjatywa te- renu. O co chodzi w tej sprawie, w sprawie bazy paszowej?

W pierwszym rzędzie chodzi w naszych województwach o popony ozimych, dających z reguły duże zasoby paszowe dla zwierząt w postaci zielonki i kizzonek, a także doskonale stanowisko pod ziemniaki i inne rośliny krzeniowe, lub kukurydzą. U nas popony nie u- dają się. Zatem co robić?

Trzeba wyhodować taki gatunek poponów, żeby się w naszych wa-

runkach udawały — oto cała filo- zofia.

A sprawa nasienia dla ba- zy paszowej, dla doboru odmian najbardziej odpowiednich roślin pastewnych i w ogóle wszelkich roślin uprawnych. Dla naszego pół- nocy - wschodniego rejonu jest to zagadnienie niesłychanie wa- żne, ważniejsze od krzyżowania pomi- dora z ziemniakiem. Dzieją się bo- wiem w tej sprawie bardzo przy- kre rzeczy. Przerzuca się nasiona z jednego rejonu Polski w drugi — zupełnie różny pod względem swo- ich właściwości przyrodniczych. Wynik takiego przetrzu jest wręcz fatalny. Rośliny w uprawach idą źle, dają plon mały, wymarzają, giną. Każdy rejon rolniczy, między nimi i nasz, winien prowadzić wła- sną reprodukcję nasion, winien rozmnożyć odmiany odpowiednie dla tego rejonu, uszlachetnić te od- miany, przystosować je do miej- scowych warunków środowisko- wych.

Miczurin mówił, że roślina, któ- ra nie będzie wyhodowana we wła- snym rejonie, nie będzie dawała odpowiednich plonów. Trzeba za- tem w pracach naszych kół miczu- rinowskich brać pod uwagę selekcję roślin, odpowiedni dobor roślin, od- powiednią ich odmianę. Oto zadanie dla was, miczurinowcy.

Czy możemy wykonać te zadania? Tak, jeśli masom chłopów zdejmiemy z oczów nałożoną przez feudalizm i kapitalizm kataraktę, która nie pozwala im dojrzeć mar- notrawienia tytułu niezwykle cen- nych materiałów w ich gospodar- cze. Któż ma dokonać tej operacji? Wy. Bo masy chłopskie patrzą na Was, naśladują Was, szanują Was, mają do Was zaufanie. Wy powin- niecie nie tylko świecić przykładem, ale i bezpośrednio, przez roz- mowy, przez prowadzenie samo- kształcenia wpływać na szerokie masy pracujących chłopów, by zer- wali z ciemnotą i zacofaniem, by uruchamiali tkwiące w ich gospo- darstwach rezerwy.

Dyzma Gałaj

S EKRETAZA Komitetu Gminnego Partii odwiedzi-łem w drugim dniu pobytu w gminie. Zdążyłem już ze-brać sporo faktów, a nawet naszkicować część reporta-żu. „Reportaż” co prawda przypo-minał artykuł sprawozdawczy, wy- pachany liczbami i informacjami.

Z takiego obrotu rzeczy samby-łem nieraż. Pewnie dlatego, po wstępnej rozmowie, dałem sekre- tarzowi Tomaszewskiemu swój szkic do przejrzenia. Oczekiwałem, że albo przytaknie, albo dopowie coś ciekawego i rozluźni nałodo- wane jak do worka fakty.

Pierwszą dla mnie niespodzianką było to, że sekretarz Tomaszewski przysiadł nad moim szkicem i prze- czytał go chyba ze trzy razy, zna- cząc niektóre miejsca ołówkiem. Potem podsunął mi tekst i popro- sił abym zakreślił fragmenty prze- jazdu.

Oto one:

1. „Stanisław Miesiał był w ubiegłym roku ukarany aresztem za dewastację gospodarstwa i sabota- wanie obowiązkowych dostaw. Po- wiadają o nim, że udaje „wariata”, bo w rzeczy samej chytry lis. Przyjeżdżał się do 9-hektarowego go- spodarstwa po starym Stodolnym, który do śmierci prowadził je wzorowo.

Miesiał w szybkim tempie za- częł spychać gospodarstwo do ru- iny. Brał np. na wóz przygotowane ziarno do siewu (8 q) i jechał do Ostrowa na rynek! W Ostrowie dogoniła go żona i wśród klótni z pomocą sąsiadów, zawróciła wóz, aby zboże zasiał; maż tymczasem pił trzy dni w miasteczku. Kiedy Miesiał odsiadywał w areszcie ka- rę, gromada, pamiętając o rzadno- ści gospodarki Stodolnego, udzieli- ła jego córce (znie Miesiał) po- mocy sąsiedzkiej. Miesiał wrócił pod koniec zniw i zaczął gospoda- rowanie... od sprzedania wirówki i innych maszyn; pozbył się też krowy, zostając przy jednej.

Tej jesieni odwiedził Miesiał bracia żony, aby pomóc w gospo- darstwie. Miesiał machnął ręką i pojechał do Ostrowa. Zrobił po- tem piękną awanturę; myślał bo- wiem, że szwagrowie przeprowadzą wykopki, a oni dokonali sie- wu — gdy Miesiał odjechał siew do wiosny, teraz zaś chciał zboże sprzedać spekulantom. Z obowią- z-

kowego skupu nie wywiązał się nawet w części. Gospodarstwo de- wastuje świadomie, doprowadza- jąc do tego, że nie ma ani zboża na skup, ani takich rezerw w go- spodarstwie, z których można by ściągnąć zadłużenie. Do ludzi po- wiadają niefraśdliwie i chytrze: „Nic mi nie zrobisz, bo państwo przecież nie chce rujnować gospo- darki”.

2. „Stanisław Marek miał w pla- nie 6034 kg zboża; odstawił dopie- ro 1118 kg. Mimo wielokrotnych odwiedzin aktywistów, więcej nie dał. Dziwi to ludzi, bo Marek ma syna w średniej szkole w Kro- toszynie, córka zaś wyszła za mąż do miasta. Stary w ten sposób poj- muje sojusz robotniczo - chłopski, że chcemy wysłać córce i wywo- zi do miasta produkty”.

3. „Błażej Spakula — 40-hektaro- wy kułak; z 38 ton zboża oddał tylko 12, tłumacząc się przebiegłe, że w Mrokach Dolnych mrozy wio- senne zniszczyły zboże, dlatego ma trudności razem z mało- i średnio- rolnymi”.

*

Wybrałem te trzy informacje, bo u was, towarzyszu, chodzi o one luzem, gdy w rzeczywistości zwi- ązane są w supeł. I to jeszcze jak!

Tak mniej więcej zaczął mówić sekretarz, kiedy podniosłem oczy znad zakreślonych fragmentów. — U was najmniej danych o ku- łaku Spakule. „Odstaw nie wyko- nał. Tłumaczy się — i ma za sobą pozory usprawiedliwienia”. Tyle tylko. A czy wiecie czyja ręka po- pchnęła do dewastacji Miesiał i do oporu Marka? Jego! Co Miesia- ła gada? „Nic mi nie zrobisz, bo państwo nie chce rujnować gospo- darki”. Kto mu podsunął te słowa? Spakula. Ale na świat wyszły one z ust Miesiały. To koronkowa ro- bota! Spakula nie gorzej od was ocenił Miesiał: pijak; dostał się lekko „na ciepły piec”; charakter słaby; Spakula więc zaczął go pchać na dno upadku. „Baw się, trać — drugi raz cię nie posadzę i z gospodarstwa niczego nie ścią- gnę, bo będzie szło o człowieka do pracy i o produkcję z ziemi”. Czy Spakula w to wierzył? Nie! On do- brze wiedział, że za dewastację czeka Miesiał sąd a gospodarstwo stanie na nogi bez rządów Miesia- ły. Szło mu o co innego; o to, aby Miesiał tak gadał, jak żęćcie to

PIOTR GUZY

KUŁAK

zapisali, aby w ludziach choć przejściowo (właśnie w okresie skupu) zbudzić wątpliwości. Niech myśla: „człowiek tu ma prawdzi- we i niezawinione trudności, a ta- ki niszczy gospodarstwo i kara go nie osiągnie”.

Któż to Markowi tak objaśnił sojusznik robotniczo - chłopski? Spakula... Nie damy na skup — nie będzie miało miasto. Czy tak należy robić? Nie! Tam są twoje dzieci. Daj im. To dopiero sojusznik. Wiesz komu, wiesz — na co. Daj tak, że- by mogli zahandlować; będą też mieli inni. Przecież to nie podarunek, tylko sprzedaż...

— To taka z niego cicha spreży- na? — wykrzyknął pełen podzi- wu dla sekretarza. Widziałem Spa- kula, Niski, włosy na gładko przy- czesane, przyjemny wyraz twarzy. Musiał być w młodości przystojny. Opowiadał mi, że miał się wtedy żenić z córką dziedzica w Śrubiko- wie...

— Otóż to: pański dyplomata! A taki się pilnuje, gr... prowadzi dy- skretnie. Co zamysł, przez innych, jak przez megafon puszcza. A dopasowuje plotki posunięcia do ludzi tak, że wam nawet nie przy- szło do głowy pytać przy Miesia- le Marku — kto tych aktorów sztu- czek wyuczył? Kto ich podszeł — każdego na inny sposób? Bo my- ślicie, że on odsłonił tam ostatnią kartę? Tam jeszcze nie. Wiedział, że Marek ma ciagotki na podkuła- czenie, ale sojusz go trzyma. Pod- sunął mu wybieg: sojusz rzecz święta, ale weź go na rozum. I stary Marek skombinował: Panu Bogu świeczkę i diabłu ogarek!

— To znaczy, że nie łatwo takie- go drania zdemaskować?

— A nie łatwo. Ale trzeba! Bo mało złamać opór Spakuli. Z tym on się liczy. I w ostateczności ra- chuje, że wytniemy jego zaległo- ści, jak się grzyb wycina. A wtedy nie wyrwimy grzybnia, którą on zakrzewił w gromadzie i dalej. My zaś powinniśmy razem z grzybem poderwać całą grzybnie — to do- piero zdemaskuje Spakule! Wów- czas i Marek powie, kto mu radził wziąć kurs na „rodzinny sojusznik”.



Walerian Borowczyk

Sekretarz zapalił papierosa. Nie wyglądał na zdenerwowanego ani przynębnego; uśmiechał się. — Pewnie macie już w ręku fak- ty, które Spakule... zacząłem. — Tak, mamy. Opowiem wam dlatego, że w gazetach najczęściej piszcze ogólnie o krecej robocie kułaków, a w faktach — jak to- wście zrobili — macie najwięcej do powiedzenia o średniakach.

Od czego się zaczęło? Przyszedł do mnie pięć dni temu Jan Cieśl- ik — fernal Spakuli, który zalega Cieślikowi z trzymiesięczną wypła- tą na 540 zł. Z tym przyszedł. Do Związku Zawodowego Pracowników Rolnych nie należy. Obiecałem in- terweniować, a przy pożegnaniu zagadnąłem.

— A jakże tam ze Spakulą? Pla- nu nie doścignął nawet do 30 proc. Powiedzieć: ma on zboże? — Siak, zbierał to chyba ma — odpowiada ostroźnie Cieśl- ik. — Iie, nie wiem. Kiedy młócił, byłem chory, ale żona mówiła, że nie- źle sypało.

— A ona skąd wie? — Bo za mnie musiała pójść ro- bić... Jak sobie wspominał żonę, pewnie już wygarnął resztę. — Ma zboże, nie dajcie się nabrać. Przed-

wczoraj jeździł z 5 cetnarami do młyna. Sam ładowałem.

— Po co? — Do śrutowania. — Przecież ma własny śrutow- nik.

— Ale mu się popsuł... A w ze- szłym tygodniu sprzedał Walcza- kowi 3 cetnary.

— Byliście przy tym? — Nie, on mnie na takie spraw- ki za świadka nie bierze. Słysza- łem o tym.

Był przy tej rozmowie obecny nasz komendant milicji, kpr. Pło- nikowski. Po odejściu Cieśl- ika Pło- nikowski po iada: kuć żelazo, póki gorące.

Kuć według niego znaczyło je- chać do młyna i do Walczaka. I pojechał. Za powrotem coś się oka- zało? Walczak przyznał, że kupił od Spakuli 3 cetnary żyta po 180 zł za metr. A w młynie? Zajeżdża Płonicowski. Młynarz Michnik wy- lewnie go przyjmuje.

— Przy okazji pokażcie mi książkę przychodową. — Przewró- cił niedbale zabrudzone kartki; na- zwiska Spakuli nie znalazł.

— Każdą robotę wciągacie do książki?

— Każdą; taki przepis. Ładnie- bym wyglądał, gdyby w niej coś brakowało! Na to tylko czekają!

— Kto? — Młynarz poczerwieniał, poczuł, że zabrakł. Płonicowski uśmiech, że nie dostreżga zmieszania.

Macie więc: sprzedaż przed sku- pem i kryminalna sprawa z Mi- chnikiem. U młynarza otworzył Spakula wszystkie karty.

W tej chwili do gabinetu sekre- tarz wszedł komendant MO — Płonicowski. Młody, o śmiałej i wesolej twarzy.

— Spakula wczoraj odstawił 20 ton zboża. Co wy na to? Sekre- tarz zamrużył powiekami.

— Taki lis? Zwietrzył nagonkę? — I tak, i nie, ale... — komen- dant zmierzył mnie od stóp do gło- wy i zatrzymał wzrok na sekre- tarz.

— Sprawdzalem, to towarzys- dziennikarz. Właśnie dopiero co o- powiedzialem mu o Spakuli. Ma- cie nowe informacje? Siadajcie...

— Teraz komendant Płonicowski uśmiechnął się szeroko.

— Dziś rano pełnomocnik skupu oznajmił mi, że wciągnął na listę dwa kwity Spakuli, jeden na żyto,

drugi na jęczmień, oba po 10 ton. Dziś rano spotkałem Cieśl- ika — Spakula wypłacił mu już należ- ność. Piękne wiadomości; za pię- knie jak na jeden dzień. Znaczy — pomyślałem — nasz „dyplomata” zaciera gwałtownie ślady. „Upre- dza natarcie...” Tak to sobie na- zwałem i nagle mi się rozjaśniło. Jeśli uprzedza, to znaczy, sam podstępnie naciera. I reputację chce uratować, i nową sztukę wyciąć. Zajądłem kwitów. I z kwitami do GS.

— Macie w książce?

Magazynier długo rubryki prze- glądał, wruszcze powiada: żyto jest, jęczmień... u mnie nie ma.

— Jeśli kwit jest, to musi być gdzieś kopia i w książce odnoto- wane.

— U mnie nie ma.

— To jak Wierzbak, wytuma- czycie, wasz podpis na kwiecie? — Wziął pod światło i zaśmiał się.

— Data wczorajsza, a ja wczoraj byłem służbowo w powiecie.

— Kto was zastępował?

— Korczak.

Ten powiada, że podpisywał kwit na żyto.

— A jęczmień Spakula nie od- dawał?

— Mnie nie.

Poszedłem do kierownika. Nie wiedział o riczym.

— A Wierzbak był wczoraj w powiecie?

— Był... Co do niego, mogę na- mienić, że żonę ma z domu Spa- kulównę.

Już byłem z powrotem w buchal- terii; po Wierzbaku ani śladu.

— Uciekł!

— Niedaleko. Rozdzwoniłem. A- resztowano go w Ostrowiu na ry- nku. Po chwili milczenia, sekretarz podniósł się i uściłnął rękę komen- dantowi.

— Oto i macie — zwrócił się do mnie — taki kawał grzybnia, który na zebraniach gromadzkich zade- cyduje o przemie. Tak trzeba: szeroko i do samych korzeni dema- skować najbardziej zakonspirowa- nych szkodników. Niech ludzie zo- baczą pod maską ogólnego kułaka kreć robotę, kryminalne przestęp- stwa i demoralizację straszliwą. Iluż on ludzi załamał i zdeprawo- wał! I jakie takiego nie izolować, jakże od niego nie trzymać się z daleka? Przecież to dzuma!

Piotr Guzy

WŁADYSŁAW RYMKIEWICZ

Domagała jedzie na wieś

NAZWISKIEM Domagała można objąć dziesiątki tysięcy młodziaków chłopskiej, która przychodzi ze wsi do miasta, do pracy w przemyśle włókienniczym, gumowym, papiernicznym, garbarskim, metalowym i in. Łódź przyjmuje z otwartymi ramionami nowych przybyszów, szukających zatrudnienia, nauki, fachu, zarobku.

Sprawy pierwszego nieraz w życiu zetknięcia się tej młodzieży z nieznanym wielkim miastem, sprawy znalezienia mieszkania, pokonywania przeszkód w zdobywaniu nauki i zawodu, sprawy nienadania za życiem kulturalnym w porównaniu z szybkim tempem zdobywania często dość wysokich kwalifikacji zawodowych — to sprawy ważne. Tematem tego szkicu jest jednak inna, niemniej ważna sprawa — sprawa wyjazdów Domagały na wieś.

Jak wiadomo — w myśl specjalnego zarządzenia Prezesa Rady Ministrów, zaświadczenie Gminnej Rady Narodowej stwierdzające, że obowiązany do dostaw właściciel gospodarstwa wiejskiego potrzebuje rąk do pracy w czasie akcji żniwnej lub kopania kartofli — otwiera jego dzieciom, rodzeństwu i krewnym ze wsi, drogę do specjalnego, dodatkowego urlopu.

Domagała odchodzi więc od swego warsztatu pracy w przemyśle i spieszy na wieś do rodziny, aby przy pracy — w polu i w gospodarstwie — pomóc jej w terminowym i sprawnym wykonaniu dostaw obowiązkowych.

W tym czasie krosna, obrączkowe lub samoprzające, opuszczone przez Domagałę, mają przemysłowy postój. Zakłady przemysłowe, pozabawione znacznej ilości robotników pochodzenia chłopskiego, stają w okresach dodatkowych, poza planowych urlopów żniwnych lub wykopkowych — przed groźbą niewykonania planów miesięcznych.

Zagadnienie to w niektórych zakładach przemysłowych na Ziemiach Zachodnich nabiera dużej ostrości. Występuje ono poważnie na przykład w Dzierżoniowie w Zakładach Przemysłu Bawełnianego 22 Lipca, gdzie do urlopów „żniwnych i wykopkowych” dochodzi urlop „buraczany” z racji akcji cukrowniczej. Od lipca do września wlicznie około 30 proc. załogi przedziału ZPB im. 22 Lipca przebywa na pozaplanowych urlopach „żniwnych”, wykopkowych i buraczanych.

Wykonanie planu produkcji staje, naturalnie, pod znakiem zapytania.

— No cóż: jedźcie, towarzyszu Domagała, skoro tam jesteście potrzebni — mówi po namyśle sekretarz Rady Zakładowej, obywatel Misiewicz z Zakładów Przemysłu Bawełnianego im. C. Szymańskiego w Łodzi. — Ale na przyszły rok musimy to zaplanować inaczej.

W trosce o przedterminowe wykonanie planu ob. Misiewicz obmyślił następujący sposób rozwiązania tego trudnego problemu:

Doświadczenie uczy, że robotnicy i robotnice pochodzenia chłopskiego niechętnie i mało korzystają z wyjazdów na wczasy w ramach Funduszu Wczasów Pracowniczych. Ludzie ze wsi, pracujący w przemyśle, wyjeżdżają na urlopy wypoczynkowe raczej do rodzinnych wsi. Ponadto, w czasie pobytu w domu przybyśże z miasta nie siedzą z założonymi rękami, nie chodzą na spacer do lasu, nie plażują, nie grają w siatkówkę; ich sposób spędzania urlopu odbiega od wypoczynku setek tysięcy wczasowiczów w uzdrowiskach, nad morzem, w górach.

Nasi ludzie z fabryk pomagają rodzinom przy pracy w polu i w gospodarstwie, harują na tym ni- by urlopie, pracując ciężko, od świtu do zmierzchu. A zatem — rozumuje dalej sekretarz Rady Zakładowej — można za jednym zamachem: a) usunąć niesprawiedliwość, jaką w oczach robotników, nie mających rodzin na wsi, jest korzystanie z urlopu wypoczynkowego, a później — jeszcze z dodatkowych urlopów „żniwnych i wykopkowych” przez ludzi ze wsi i b) zapobiec niedociąganiu i niebezpieczeństwu niewykonania planu przez zakłady przemysłowe w miesiącach wzmożonych robót na wsi. Trezba tylko zaplanować na rok 1954 urlopy w ten sposób, żeby terminy wczasów dla pracowników w przemyśle ze wsi zbiegały się z terminami akcji żniwnej, wykopkowej i buraczanej, a więc — w miesiącach od lipca do października. Trezba, jednym słowem, skumulować urlopy wypoczynkowe ze „żniwnymi”, „wykopkowymi” i „buraczanymi”.

Rozumowanie to wywołuje zastrzeżenia. Po pierwsze: — nie można się godzić i uświadczać unikania przez ludzi ze wsi wyjazdów na wczasy w ramach akcji Funduszu Wczasów Pracowniczych. Po drugie: — nie wolno uogólniać i rozciągać na wszystkich pracowników pochodzenia wiejskiego, pomagających w czasie urlopu rodzinom przy pracy w gospodarstwie rolnym, zasady rzymskiej „Volenti non fit iniuria” (chcącemu nie dzieje się krzywda).

Prawem każdego obywatela w naszym państwie ludowym jest możliwość wykorzystania wypoczyn-

ku w taki sposób, w jaki to każdemu najbardziej odpowiada.

Rozumowaniu więc ob. Misiewicza trzeba przeciwstawić inny pogląd, oparty o zasady sojuszu robotniczo — chłopskiego.

Skoro towarzysze ze wsi wyjeżdżali na dodatkowe urlopy „żniwne lub wy” kowe”, celem ułatwienia rodzinom prac w gospodarstwie i terminowego wykonania obowiązkowych dostaw produktów rolnych do miast — pozostali przy warsztatach towarzysze powinni zmóc wydajność swej pracy, żeby nie dopuścić do zalamania planu w miesiącach letnich i dostarczyć chłopom wyrobów przemysłowych w ilościach zaspokajających zapotrzebowanie wsi.

Pogląd ten znajduje uzasadnienie w postulatcie sformułowanym przez Przewodniczącego KC PZPR na IX Plenum: „Chodzi o to, aby każdy chłop małorolny i średniorolny zrozumiał, że najżywotniej odpowiada jego interesom CAŁOKSZTAŁT polityki ekonomicznej państwa ludowego w stosunku do chłopskiej gospodarki, polityki pogłębiania spójni gospodarczej między miastem i wsią. Całokształt tej polityki obejmuje zarówno pomoc produkcyjną ze strony państwa w postaci właściwego zaopatrzenia w maszyny rolnicze, narzędzia, budulec, nasiona itp., kredyty na zakup krow dla małorolnych, usługi POM i GOM, pomoc agrotechniczną i weterynaryjną, jak i chłopskie dostawy obowiązkowe artykułów rolnych...”

Dlatego koniecznym jest, aby z kolei chłop zdawał sobie sprawę na jak wielki wysiłek zdobywa się klasa robotnicza, kiedy część (do 30 proc.) robotników pochodzenia chłopskiego zwalnia na okresy żniwny i wykopkowy dla bezpośredniej pomocy w produkcji rolnej. W tym bowiem czasie walczą bezpośrednio na dwóch frontach równocześnie (w gospodarstwach indywidualnych i fabrykach) o wyciągnięcie planu rolnego i przemysłowego, walczą więc o całokształt polityki ekonomicznej państwa ludowego — mimo, że na własnym odcinku umniejszonymi przeciw siłami.

Ta wielka lekcja patriotyzmu klasy robotniczej powinna pogłębić miłość pracujących chłopów do robotników, powinna pogłębić poczucie odpowiedzialności chłopów za rozwój i podniesienie produkcji rolnej.

Władysław Rymkiewicz

ERWIN STRITTMATTER *)

Dziadek nie zawsze był rolnikiem. Kiedy opuścił szkołę, ojciec Christian wysłał go do murarza. „Nie będziesz przynajmniej musiał całować pałki na von Buckowitza po rękach!” — mawiał pradziadek. Dziadek poszedł na budowę, miewał wapno, dźwigał cegły, odsewał piach. Zarobił sobie na plecak, kielnię i poziołomkę. Po trzech latach kupił trzy litry wódki. Ci, którzy wódkę wypili, uczynili dziadka czeladnikiem.

Dziadek powędrował z murarzami do miasta, gdzie budował fabryki i wille. Tam — jak wspomina — „poczerwieniał”. Dziadku, gdzie byłś czerwony? — pytam. — Tego się nie widzi, ty żółto-dziobie. To jest wewnętrzne...

Każdego rana maszerował dziadek trzynastą kilometrów do miasta. Wieczorem lał te trzynastą kilometrów do domu, jak jeli! — opowiada dziadek. — „Musiałem okropnie uważać, żeby inni nie przychodzili do Minny”. Minna — to moja babka.

Babka otrzymała w wianie od swych rodziców dwie morgi gruntu. A wszystkiego pradziadekowi mieli osiem morgów. Dziadek zaraz zapuścił korzenie na tych dwóch morgach. Przesłał chłodzić z murarzami do miasta. Postarał się o pracę murarza w hucie szkła w Sandberge. Teraz każdego ranka kłusował tylko cztery kilometry. Wracił wcześniej do domu i pomagał babce.

Cegłę na domek przwoził sobie dziadek z cegielni wózkami, który ciągnął sami. Później urodził się chłopcy. Najpierw Ernst, to znaczy „przybysz”, ten który powrócił i siedzi teraz tam u dziadka i przysłuchuje się jego chępliwym opowieściom.

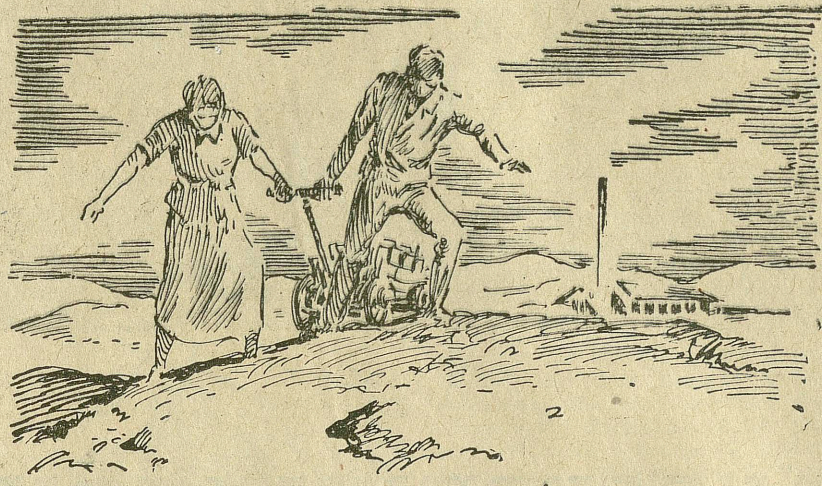
Później przyszedł Matthes. Znam tylko fotografie wujka Matthesa. „Ciagle jeszcze byłem bardzo czerwony; znosił mnie tylko ci na wsi, którzy też byli czerwoni. Do kroćset!” — opowiada dziadek.

Dziadek i ci, którzy też byli czerwoni, założyli czerwony Związek. Był to czerwony Związek Miejskowy. Dziadek został przewodniczącym, ponieważ powołał trochę miejscowego powiatu.

Później w Miejskowym Związku nastąpił krach. Dziadek przesłał być przewodniczącym, został — jak mówi — członkiem zwyczajnym. Dziadek chciał być wolnym człowiekiem. Inni w Związku chcieli

*) Erwin Strittmatter — autor powieści „Tinko”, której fragmenty drukujemy, przeżył ciężką i charakterystyczną dla naszych czasów drogę. Jeszcze niedawno był robotnikiem rolnym. W nowych warunkach, sprzyjających stałemu i wszechstronnemu rozwojowi uzdolnień człowieka w NRD, zaczął pisać opowiadania. Zwrócił one uwagę na ich autora.

Obecnie Strittmatter pracuje nad wykończeniem powieści „Tinko”, w której pragnie ukazać przemiany zachodzące w chłopstwie niemieckim w NRD w pierwszych latach po zwycięstwie odniesionym nad hitleryzmem.



M. Walentyłowicz

tego samego i dziadek im pokazał, jak się to robi; ale oni byli zbyt nieporadni.

Murarz na folwarku pana von Buckowitza porzucił pracę. Placowo mu niżej umowy. Dziadek poszedł do pana von Buckowitza i rzekł: „Gdyby mi pan wydzierżawił kawałek ziemi, panie dziadku, mógłbym po fajerancie pracować dodatkowo w pańskim kramie”. Dziadek się zgodził. Wydzierżawił dziadkowi cztery morgi jałowych nieużytków.

Dziadek znalazł się na najlepszym drodze, by zostać niezależnym gospodarzem. Po fajerancie biegł na folwark i murował, co było do murowania. Każdy strajk w hucie szkła był mu bardzo na rękę ze względu na pracę w folwarku. W ten sposób składał na dźwierzawę swych czterech morgów. Przy blaszku księżycu raczkował po swych zagonach. Pracował.

* *

Przyszła wojna.

Dziadek nie był zwolennikiem wojny. Przed dwudziestu laty sam patrzył na koniec pierwszej wojny, jako uczestnik pospolitego ruszenia. Gdy radio bełbiało o napaści wojsk Hitlera na Polaków, wypowiadał zdania, że „jesteśmy prawdziwymi mordercami”. Później, gdy została podbita Francja, mówił: „Niemiec — to jednak potęga”. Jeszcze odrobnie później powiedział: „Wydałem mi się, że zdobyliśmy tyle ziemi, że nie powinno już chodzić o te cztery morgi”. Powiedział to baronowi von Buckowitzi, który kazał dziadkowi przyjąć do siebie, by mu zakomunikować, że znów mu jest potrzebny każdy skrawek ziemi. Oczywiście, baronowi było wiadomo, że dziadek te cztery morgi ugorów zamienił w ładny kawałek gruntu. Dziadek oddałby duszę za pozostawienie mu tego kawałka ziemi. Baron był jednak wielkopolski i uprzejmy: ziemi mu nie zostawił.

Przez Märzdorf ciągnęli żołnierze radzieccy. Dziadek schodził im z drogi, gdzie tylko mógł. Paś swo-

ją krowę. Babka gotowała dla żołnierzy. Paszy dla krowy było pod dostatkiem. Dziadek miał do dyspozycji łaki i pola pana von Buckowitza. Wyszukiwał najlepsze, z najobfitszymi trawami miejsca dla krowy Motriny. Gdy wracał do domu, wyskrobywał resztki strawy z garnków babki. Czekal na zdarzenia, które miały przyjść. I przyszły.

Ludzie powoli wracali na wieś. Wszystko zaczęło się kręcić na nowo, a dziadek musiał biegać, fukać, pisać.

Pierwszym „przybyszem”, który wrócił z radzieckiej niewoli, był Paule Wunsch. Dziadek zaczął mu opowiadać o swej walce o sprawiedliwość. Zapomniał tylko, że Paule Wunsch, jako miłośnik, należał do Związku Miejskowego. Ale Paule wyrzuceno: był zbyt czerwony. Tak czerwony, jak komunista. Paule Wunsch mrugał lewym okiem i odpowiadał: „Wiesz, wiem. Już kiedyś chciałeś tak po swojemu wywłaszczyć barona”.

Dziadek nie bardzo wiedział, co ma sądzić o tym stwierdzeniu. Stara nieufność do Paule znów w nim narastała. Ale i Paule, i dziadek zaczęli już — wraz z innymi — rzeczywiście dzielić ziemię barona von Buckowitza.

* *

Dziadek wiezie pełen wóz ziemniaków do miasta. „Odwozić, odstawiać! Co odwiezione, to z głowy” — mówi przybysz. „Tylko spokojnie, tylko powoli!” — opiera się

dziadek. — Do diabła, żeby to nie było wolno zatrzymać sobie wszystkich ziemniaków! Skąd ci ludzie w mieście żrą tyle ziemniaków?”

Przechodzi obok Kimpel.

— Żrą? — pyta.

— Nikt ich nie żre; zostaną wypite. Zrobi się z nich wódka. Roszanie wypiją.

Przybysz ściga brwi: — A tę wódkę, co ty pijesz, robią pewnie z porzódów, co?”

* *

Z domu wychodzi dziadek. Ręce trzyma w kieszeniach od spodni. Broda obrysa mu zgrzyliwie.

— Co tu się dzieje?

Przybysz zaczyna gwizdać przez zęby. Nie chce, żeby mu przeszkadzano. Dziadek przez chwilę patrzy na nas. Nagle mówi: „Ach taak!” — po czym złazi do ziemi, mocno chwyta za stylisko od szpada przybysza i mrućszy znacząco: — Sądziś, że się utrzymają, jeśli złożyły je tak płytko? Zawsze uważałem, że trzeba schować parę korey.

— Złoczy? Co schować?

Przybysz wyprostował się. Wyzie- ra mu z oczu gniew. — Niczego nie chcę tu ukrywać! Dziadek przetrząca żółtym prymkę z jednego kąta ust w drugi. Jest rozczarowany. Przybysz znów się zabiera do kopania i warczy:

— Tu chcę... obornik nie może się walać po całym podwórzu. Chcę go zadołować. Potrzeba nam gnojownia.

Dziadek pluje sokiem z prymki do dołu: — Bzdury! Jak ci się dłuży czas, narznię szezki!...

— Bzdury? Gnojownik, to dla ciebie bzdury?...

— Gnoj w oborze jest tłuszczy. Też mi jakaś nowa moda: co chwilę wywozić gnoj z obory! Koń się przebieży a świnie ochwaca.

— Jeśli będzie sucho w pomieszczeniach, na pewno się nie ochwaca.

— Tego ci też nauczyli w tym twoim kolchozie?...

Dziadek owija łańcuszek od zegarka dookoła palca i wypina pierś:

— Tam rzeczywiście trzeba obornik chować w dołach i jeszcze zamakać. Mogłoby dostać nog. Nikt nie ma własnego bydła, ale każdy potrzebuje porcyki gnoju do ogródka przyzgodowego. A może nawet już i ogródków nie mają, co?

Przybysz opiera się na szpadlu. Oddycha tak jakby pies warczał: — Przesłań wreszcie, do cholery! Czyż ci nie opowiadaliśmy?...

— Możesz mi dużo opowiadać — przerywa mu dziadek, ciesząc się, że rozwścieczył przybysza. — Opowiadaj, żeby zabić nudę. Ale nikt ci nie wierzy! Nawet ten mały.

Dziadek chwytą nienie za koltierz. — Chodź Tinko, chodź. Odmocz sobie nos przy głupstwach... *

Wszystko wyszło na jaw. Opowiadaliśmy mi Kimpel-Fritz. Przybysz należał do partii. To taki on! Nie wszyscy mieszkający wsi należą do partii, ale ojciec Murnelau- ga należał: jest przewodniczącym, Nauczyciel Kern jest w partii, Klauschke też. Nosi on biały kitel i sprzedaje w konsumie margarynę i szcztolki do szorowania. Burmistrz Paolo, kilku przesiadłców i kilku hutników — to także partyjniaki. Hutnicy szkła pracują w Sandberge i mieszczą na facytach u chłopów. Pastor nie należał do partii. „Bóg, nasz Pan, nie jest polityczny” — mówi.

Im dłużej rozmyślał, tym więcej ludzi znajduje w partii; także kobiety: panią Kern i sprzedawczynię z konsumu. Chłopki nie należą do partii. Nie zawsze — jak mówią — mają czas, by biegać na zebrania. Za to należą do Związku Kobiet. Związek Kobiet też urządza zebrania. To wystarcza.

Są we wsi ludzie, którym wywracają się oczy i łamią języki gdy rozmawiają o partii. Biały Klauschke przemawia w sklepie, ale tych przemówień nikt nie rozumie. Niektórzy rozglądają się przedtem na wszystkie strony — nie może być nikogo w pobliżu — nim zaczną mówić o partii. Dziadek i Kimpel wypędzają mnie i Fritza na podwórze gdy klną na partię.

Partia robi wszystko, a czego jeszcze nie zdolała zrobić, to na pewno robi — mówi Wunsch. Jeśli on tak mówi, to można wierzyć.

Partia urządziła uroczystość dla dzieci. Dostaliśmy ciastka i cukierki. Jeśli partia rozdziela między przesiadłców buty, spodnie albo materiały na ubrania, to nazywają ją wtedy solidarnością narodową. Wiele przesiadłców chwali ludzi z partii, którzy ruszyli naprzód tę solidarność narodową. Inni przesiadłcy nie chcą o partii nawet słuchać. Niech się najpierw zatroszczy o to, żeby odzyskać to wszystko, co mieli kiedyś.

Wunsch przemawiał do przesiadłców: Partię stać na wiele. Będzie mogła robić jeszcze więcej gdy wszyscy będą z nią współdziałać.

Jesteśmy biedni wskutek wojny — powiedział Wunsch. — Ale wojnę robią bogaci. Zarabiają na tym. A mali ludzie muszą wojnę odcierpieć na sobie. Niektórzy przesiadłcy p.wiadali po tej mowie:

— Ten Wunsch ma rację. Tyłko nie wojna! Jeśli ojczyna prowadzi wojnę, to nie ma nawet o czym mówić. — Erwin Strittmatter

RYSZARD HŁADKO

ZNACHOR CZY LEKARZ?



CHŁOPKA J. patrzyła przed wojną na Krynicę ze szczytów górskich, na które wdrapywała się z posilkami dla męża pracującego tam przy wyrębie lasu. Już wtedy chorowała na serce i zaburzenia systemu nerwowego; toteż mąż, który często bywał w Krynicy, przynosił jej z krynickich źródeł leczniczą wodę.

W tamtych czasach sanatorium było dla ob. J. nieosiągalne; możliwość leczenia się w nim wydawała się niewiarygodna. Cóż zatem dziwnego, że obecnie — w pierwszych dniach pobytu w Krynicy — była przebywaniem w sanatorium tak onieśmieszona, że krepowała się nawet wychodzić na deptak.

— Pod ziemię bym się ze wstydu schowała! — opowiadała. — Jak wyszłam przed sanatorium i zobaczyłam, że tu tyle pań spaceruje, to chociaż doktor kazał mi chodzić do pijalni, wołałam zostać w pokoju. Dopiero gdy siostra zaczęła mnie wszędzie oprowadzać, nabrałam odwagi; dziś już nie wstydzę się pójść wszędzie.

Ta wiejska kobieta, która przed paru tygodniami nie umiała kranu w wannie odciąć, dla której przeżyciem było naciśnięcie dzwonka dla przywołania pielęgniarki — siedzi teraz w świetlicy w wygod-

nym fotelu — i z gospodarską godnością rozmawia z wybitnym plastikiem warszawskim.

Włączywszy się do rozmowy, zapytałam ob. J. czy pobyt w sanatorium przyniósł poprawę w jej zdrowiu.

— Czy ja wiem? — odrzekła. — Na razie nie widzę specjalnej poprawy. Może w ogóle nie pomoże... — E... — usiłuję zaprzeczyć.

— A czyż mało to się zdarza, że i najlepszy doktor nie pomoże? Jak co komu przeznaczone, choćby nie wiem jak się bronili, nie wybroni się. Była u nas jedna kobieta chorą na raka. Zrobili jej operację — i po niej. Zaledwie cztery tygodnie chodzila po świecie. Operacja nie pomogła i doktor nie pomógł...

— Może za późno się do niego zgłosiła? Rak — to choroba złożona, uporczywa. Lekarze walczą z nią tylko w klinikach.

— A mego męża przez dwa lata leczył na raka zwykły człowiek z naszej okolicy i bardzo mu to pomogło. Cała wieś się u niego leczy. Przed wyjazdem do Krynicy sama do niego chodzila i nie moge powiedzieć, żeby mi zaszkodził. Kazał pić mięcie pieprzowa i przykładał na brzuch palony owies albo cegę; gdy zaczęłam to robić, od razu poczułam się lepiej...

— Więc ten człowiek — to nie lekarz? — pytam ze zdziwieniem.

— Jaki tam lekarz! — Tak jeden, prawie sąsiad. Zna się na chorobach; wie jak ludzi poratować. Był czymś zadowolony, nie lubił biednego człowieka. Ja — wdowa nie mam za co leczyć się po doktorach; gdyby nie Sapomoc, nigdy bym tu nie przyjechała.

— To jednak mąż umarł? —

— Ano, umarł. Tak było mu to przeznaczone. Co los postanowił, człowiek nie zmieni. Z mojego rodu nikt długo nie żył. Matka miała 36 lat, jak umarła; ojciec — 49. Bratu się zmarło gdy miał 27 lat; drugi nie dociągnął nawet do 40. Mąż doszedł ledwie do 35, kiedy go chowała...

— Toteż trzeba się leczyć.

— Pewnie. Każdemu na życiu zależy. Myślę, że mi przyjemnie tu siedzieć? U nas jeszcze przed wojną ludzie rozprawiali,

jakie to zgorzenie jest w tej Krynicy. Ksiądz nawet na kazaniu o tym mówił. I prawda. Gdy jest ładna pogoda, wszyscy tu prawie nago chodzą. Jak tu wyjeżdżać, wszyscy się ze mnie śmieli, że na zgorzenie leczę... Mnie starej mówić coś podobnego! — dodała z oburzeniem.

— Stucham i myślę: jakież to niespodzianki planują czasem pozory! Obywatelka J. — mimo pewnego uświadomienia — obciążona jest nadal wszystkimi grzechami zaco-fania. Wiara w zabobon stawia na jednej płaszczyźnie z wiedzą lekarską.

Czy jej leczenie w sanatorium jest dowodem, że mimo swego uzna-nia dla znachorskich umięt-ności, rozumiała, iż może ją uratować tylko medycyna? I czy już nie odda z powrotem swego zdrowia w ręce szarlatanów?

Zegnając się, informuję ob. J., że w jednym z najbliższych numerów „Wsi” znajdzie artykuł o sobie.

— Jak to, to pan z gazety? I na-pisze pan o mnie?

— Opiszę naszą rozmowę.

— Nigdy się na to nie zgodzę! — zawołała. — Nie zgłupiałam, żeby się wystawiać na śmiechy...

Zaskoczony tą uwagą, usiłowa-łem dociec, co ją wywołało. Skromność? Nie za tym nie prze-mawiał. Wstydlność? Czegóż się tu wstydzil. Prawda: ob. J. my-ślała kiedyś inaczej, ale w końcu przecież przejrzała. Obawa przed ludzką drwiną? Ludzie raczej z u-znaniem będą o tym czytać.

— Nie chcę — powtarzała upar-cie ob. J. — by ludzie u nas po-myśleli, że specjalnie chcę się re-klamować.

— Nie mogłem jej przekonać. Cho-ciaż żal mi było tematu i straconych godzin rozmowy, musiałem przyrzec, że jeszcze się nad swym zamiarem zastanowię.

Przy kolacji spotkałem się z fotoreporterem jednego z warszaw-skich czasopism: chciał zrobić zdję-cie właśnie chłpki J., razem z le-karką podczas zabiegu. Ale ta ostat-nia ostro się temu sprzeciwiała.

— Nie lubię się afiszować — tu-maczyła się,

Teraz wszystko stało się dla mnie jasne: prosta wiejska kobieta, ob-ciążona wielu przesadami i uprzed-zeniami, skomentowała niechęć lekarzy do umieszczenia jej zdję-cia w piśmie — po swojemu.

— W tym coś musi być — my-ślała zapewne. — Jeśli nawet pa-ni doktor tak się przed tym broni, to na pewno w tym coś musi być...

Po kolacji, gdy odwiedziłem mo-ją rozmówczynię, powiedziała z za-żenowaniem:

— Nie chciałabym, żeby się pan na mnie gniewał za mój sprzeciw. Niech pan o naszej rozmowie na-pisze, ale bez tego, co mówiłam o człowieku, który u nas we wsi le-czy. Bo jak by przeczytał o sobie w gazecie, to by się bardzo na mnie gniewał, że mu pacjentów odbie-ram. Ostatecznie może pan coś na-pisać; ale bez naziska: tak, żeby się nikt nie domyślił, że to z mo-ich słów i że o niego chodzi.

A więc niepokój ob. J., że opi-szę rozmowę, jaką z nią przepro-wadziłem, nie łączył się z uwagą lekarki. Była to sprawa samej ob. J. Ściejle: sprawa wiejskiego zna-chora.

Tkwi w niej doniosły problem. Dotyczy bowiem zakorzenionych na wsi przesądów. Choć wieś już poznaje zżubne skutki leczenia się u różnego rodzaju szarlatanów, nie zawsze jeszcze zdobywa się na ich demaskowanie, na walkę ze „zna-chorstwem”.

Wydałem mi się, że w zwalczaniu tej groźnej dla zdrowia publicznego bolączki (a! ta wciąż jeszcze ist-niej) największą rolę mogą ode-grać lekarze. Muszą oni zrobić wszystko, żeby wydrzeć straszne-mu przesądowi nie tylko ciało lecz i duszę człowieka.

Olbrzymie zadanie staje tu tak-że przed działaczami kulturalno-oświatowymi i społecznymi na wsi i w uzdrowiskach. W bezpo-srednich rozmowach z ludźmi mogą oni wzmóc pracę uświadamiającą, pro-wadzoną poprzez gazety, książki, ra-dio, film, pogadanki, wnosząc po-ważny wkład w walkę o zdrowie ludzkie i wyzwalanie wsi z przesąd-ów.

Ryszard Hładko

ILJA ERENBURG

O PRACY PISARZA

Zamieszczamy za radzieckim miesięcznikiem „Znamia” dalsze fragmenty studium Ilji Erenburga pt. „O pracy pisarza”.

Obróby burżuazyjnej ideologii oskarżają radzieckich pisarzy i przodujących pisarzy Zachodu o tendencyjność. „Zjawisko, że pisarz — jak i wszyscy ludzie — jedno kocha, drugiego nienawidzi, jest zupełnie zrozumiałe. Człowiek czujący wszystkich bogów, nie wierzy w żadnego — tak samo, jak człowiek zapewnijający, że kocha wszystkie kobiety, nie kocha żadnej.

„Pisarz pisze nie dla zabawy, nie dla zdobycia sławy; pragnie on uczynić ludzi doskonalszymi, a życie — piękniejszym; książki są dla niego duchowym orężem w walce. „W powieści niemieckiej pisarki-komunistki Anny Seghers, „Umarli pozostają młodzi”, fascynują się żywymi ludźmi; żaden z nich nie jest pozbawiony pewnych cech doskonałości, wszyscy jednak dokonują potwornych zbrodni lub solidaryzują się z nimi. Tendencyjność pomaga Annie Seghers spojrzeć głębiej w dusze odwarżanych postaci, dać obraz artystycznie bardziej wierny.

Szołochow w „Zorany ugorze” jest tendencyjny; wie on, że zespalandzie chłopstwa będzie krótkim naradzie; tendencyjność pokłonił pisarzowi spojrzeć wnikliwiej w dusze kulaków i stworzyć ze swej książki nie pospolity, nie plakatywny, lecz obraz pełen psychologicznej prawdy. Wydaje mi się, że poza pasją i żarliwością nie było i nie ma prawdziwej literatury.

Warto tu przypomnieć wychodzące już z obiegu słowa, jak: powołanie, natchnienie, służba społeczna. Nie są one ani śmieszne, ani puiste. Zawierają bowiem dokładne określenie obowiązku pisarza. Pisarz przez swe krótkie istnienie powinien przejść przez życie wielu ludzi i zagrzewać ich serca, sam się przy tym spalając. Pisarz — odtworzywszy świat wewnętrzny człowieka — powinien pomóc czytelnikowi pełniej żyć i wznosić się coraz wyżej.

Pisarza cechuje wrażliwość serca, zaciękanie losem ludzkim, miłość dla człowieka; nawiązując do tego, pisarz zdolny jest zrozumieć każdego człowieka. Wszyscy ludzie, a więc i pisarze, odczuwają dostrzeganie zjawiska poprzez własne doznania. Uczucia obce pisarzowi, nie mające nie wspólnego z jego duchową konstrukcją, nie docierają do niego i nie przemawiają. Gdy odtwarza je w swej pracy, wspomina sceny z cudzych książek, uzupełniając je logicznymi domysłami. W takich książkach i na takich stronach zawsze wyczuwamy obcość i brak plastyczności.

Wbrew rozpowszechnionemu na Zachodzie pogładowi pisarz nie może być widzian na przedstawieniu komedii ludzkiej i dramatycznej; jest on ich uczestnikiem. Rozpoczęcie pracy nad pierwszym rozdziałem powieści poprzedzają nie tylko miesiące lub lata przygotowań do niej (notatki, pierwsze plany), lecz i okres intensywnego życia autora: jego radości, wzdry, i porwy, jego wzajemne stosunki z ludźmi.

Mówiąc o tym, nie twierdzę bynajmniej, że pisarz odtwarza w powieści lub opowiadaniu wypadki ze swego życia. Przeciwnie: autor przeżywa zmiany nie tylko takie przeżycia, lecz i obrazy przez siebie zaobserwowane. Opisuje jednak zawsze postacie, których myśli i uczucia są dla niego zrozumiałe; poza tą prawdą nie ma literatury. Zdolność odczuwania przeżyć swych bohaterów autor osiąga poprzez własne przeżycia; to one torują mu drogę do innych serc.

„Fiedin napisał „Miasta i lata” dlatego, że podczas pierwszej wojny światowej przebywał w niemieckiej niewoli. Dwie ostatnie powieści tego pisarza są mocno związane z jego młodością. Fiedin przez napisanie „Pogromu” walczył w partyzantce na Dalekim Wschodzie. Wsiewołod Iwanow w opowiadaniach z wojny domowej zawarł dzieło własne. W trylogii Aleksieja Tolstoja znajdujemy wiele szczegółów autobiograficznych. Poetyczna powieść „Bieleje samotny żagiel” jest artystycznym nawrotem do dzieciństwa jej twórcy. Początek powieści Pawlenki „Szczęście” powstał niełatwo: zanim go autor napisał, sam opisane wypadki przeżył.

Każdy pisarz ma dostęp do serc jednych ludzi, nie rozumiejąc lub mało rozumiejąc serca innych. Każdy też ma do nich swe klucze: do jednych większe do drugich mniejsze. Ale nie ma i nie było pisarza, który by posiadał klucze do wszystkich serc.

W literaturze ubiegłego wieku znajdujemy takie określenia, jak „dziewczeta Turgeniewa” lub „bohaterowie Czechowa”. Te typy powieściowe są nie tylko wyrazem określonej epoki; znalazły w nich swe odbicie również indywidualne cechy twórców. Czy w czasach Turgeniewa nie było żadnych władzy kobiet? Czy nie królowały wówczas interesowność i zmysły? Czy nie spotykano wtedy szczęśliwej miłości? Turgeniew wnieśli sylwetki władczych kobiet i barwnie odtwarzał szczególną miłość, ale z wyjątkową plastycznością i wyjątkową wnikliwością utrwał w swych powieściach po-

stacie bohaterów, które otrzymały nazwę „dziewczeta Turgeniewa”. Nie tłumaczy się to literackimi lub filozoficznymi upodobaniami pisarza, ani jego zachwytem dla Goethego lub Schellinga. Sylwetki ujmujących a nieszczęśliwych dziewcząt potrzebne były Turgeniewowi dla pokazania „zbędnych ludzi” i rozkładu warstwy szlacheckiej. Jak byśmy się długo nie zamyśli nad duchowymi przeżyciami Turgeniewa (a przecież trudno uwierzyć, by spotykał on w życiu wiele swych bohaterów) wypadnie nam stwierdzić, że charakter i losy Turgeniewa często przypominają charakter i losy „dziewczeta Turgeniewa”.

Za czasów Czechowa nie rzadko spotykano w Rosji niezłomnych rewolucjonistów — ludzi o jasnym umyśle i żelaznej woli. Czechow jednak najczęściej odwarżał pechowców, niepoprawnych marzycieli — ludzi o wrażliwym sumieniu, łamanych twardą bezwzględnością życia. Wychytując się w listy Czechowa i wspomnienia o nim współczesnych, widzimy w osobie tego twórcy wyjątkowo łagodnego, smutnego człowieka, który nie znośił gromkich słów, unikał dramatycznych sytuacji zachowując głęboką wyrozumiałość dla ludzi słabych, doświadczanych życiowymi zawodami. Takim pozostał on i w literaturze. Wpływało to nie tylko na jego stosunek do ludzi, lecz i na wybór jego bohaterów. Dostojewski — od napisanych w młodości „Biednych ludzi” do „Braci Karamazow” — nigdy nie odtwarzał wewnętrznej światłości kobiet; w każdej jego powieści postacie kobiece są losowymi tykami; ukazując je one jedynie po to, by decydująco zaważyły na życiu męzczyzny. Nie spotykamy w książkach Dostojewskiego ani wzajemnej miłości, ani duchowej harmonii. Ma to ścisły związek z jego charakterem, z jego samotnością, z jego ciężkimi osobistymi przeżyciami.

Pisarz, który — bez względu na swe intencje — opisuje ludzi nieznanymi mu lub niezrozumiałymi, spotka się w swej pracy z nieuniknionym niepowodzeniem.

„Niepodobna dokładnie zbadać duchowego laboratorium współczesnych pisarzy; mimo, że przebywają oni w naszym pobliżu, nie znamy ani ich charakteru, ani przeszłości. Gdy pragniemy poznać tajemnicę narodzin bohaterów klasycznych powieści, czytamy listy, pamiętniki, notatki ich twórców oraz wspomnienia o nich współczesnych. Dowiemy się wtedy, że bohater powieści nie powstał z zerknięcia się pisarza z człowiekiem, który przykuł jego uwagę; jego sylwetka zarysowała się w wyobraźni pisarza wtedy, kiedy dociekał on do istoty wielu spotkań.

Wybitny przedstawiciel sądownictwa opowiedział Tolstojowi zdarzenie, które go poruszyło. Twierdził, że ten wypadek zaważył na powstaniu powieści „Zmartwychwstanie”. Wierny od dawna, że problemy zawarte w tej książce nie dawały Tolstojowi spokoju przez całe życie. Opowieść wybitnego sędziego umożliwiła pisarzowi stworzenie kanwy powieści; pomysł jej napisania przodził się na długo przedtem.

„Pisarz żyje życiem społeczeństwa opisując wydarzenia dostrzegane w gęstwinie życia. „Gonczarow stworzył Oblomowa nie dlatego, że był on zjawiskiem wyjątkowym — lecz dlatego, że obłomowizm stał się w jego czasach klasą społeczną. Miłość Anny Kareniny jest w swej żywotowości wyjątkowa; rozumie ją jednak każdy człowiek.

Dlaczego burżuazyjni pisarze są w naszych czasach tak mało płodni? Dlatego, że oddalają się od życia. Odtwarzają oni ludzi niczyń do siebie niepodobnych. Tacy ludzie niewątpliwie istnieją (jest ich może nawet więcej, niż nam się wydaje); czytelników jednak żaden z tych ludzi nie zacięka; bo czytelnik szuka w książce opowieści o samym sobie i swych czasach.

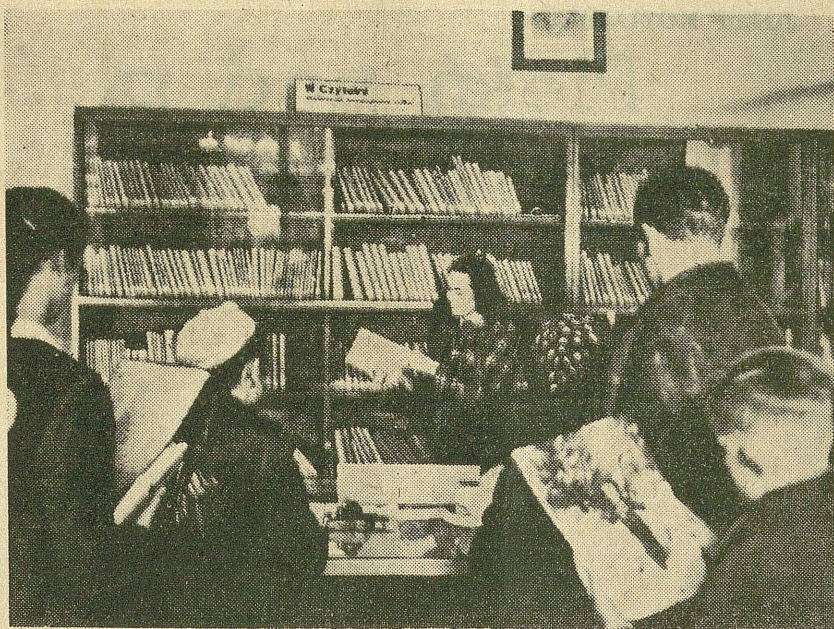
„W bohaterach współczesnych burżuazyjnych powieści nie dostrzegamy wzbudzenia ludzkich namiętności; znajdujemy w nich przeżycia typy niesamowite, jak gdyby były przeznaczone do muzeum osobliwości: zazdrosnego pederasta, matkę zasmuczoną uczuciem obcości dla własnego dziecka, samobójcę odbierającego sobie życie bez powodu.

„Obserwując ludzi, pisarz nie widzi w nich wszystkiego; są myśli i uczucia, których nie dostrzega nawet najlepszy znawca serc ludzkich; ujawniają się one tylko w chwilach wyjątkowych.

Kreśląc typy powieściowe, pisarz wykorzystuje w swej pracy własne obserwacje, doświadczenia, uczucia.

Ibsen nie znalazł w swym życiu radości; liczne jego sztuki są jak gdyby długim monologiem ich autora. W sędziwych latach Ibsen wyznał: „Artysta zdolny jest odtworzyć tylko to, co znalazło chociażby częściowe odbicie w nim samym”. Nie świadczy to bynajmniej, że Ibsen nie znalazł norweską społecznością lub że zamykał się w swej twórczości w kręgu wyłącznie własnych przeżyć; spotykamy w jego dramatach różne charaktery, ale są one wszystkie odbiciem charakteru ich autora.

Tłumaczył Stanisław Ziemak
(Dokończenie w następnym numerze)



Z zadań rewolucji kulturalnej

STANISŁAW KRAKOWIAK

WIEJSKIE KSIĘGARNIE

Jeszcze przed rokiem w sklepach gminnych spółdzielni książki „nie szły”. Pokryte kurzem leżały na jednej lub dwóch półkach — najczęściej w zaniedbanii i zapomnieniu. Były towarami „niechodliwym”. Tak było m.in. w Rokicinach, gdzie książki umieszczono w sklepie żelaznym, a sklepowa ob. Drabik kleja je i przetrzeźniała w najciemniejszy kąt. Podobnie było w Będkowie, Ujeździe, Strykowie, Jeżowie, Rogowie i innych gminach pow. brzeskiego.

Nauczyciele i działacze oświatowi nie mogli spokojnie patrzeć na zakurzone i porzucone w spółdzielniach rokińskich książki; żądali otwarcia specjalnego sklepu z materiałami papierniczo-piśmiennymi i książkami, by zaspokajał wzrastającą potrzebę dzieci i młodzieży szkół gminy Rokiciny i okolicznych wiosek.

Nie łatwo było taki projekt zrealizować. Opór był i w miejscowym zarządzie gminnej spółdzielni, i w PZGS Brzeziny; nie wierzone tam w możliwość utrzymania się samodzielnej księgarni, takiej bowiem placówki historia handlu dotychczas na wsi nie notowała.

Intencję w gminnej spółdzielni i PZGS-ie, wreszcie artykuły w „Głosie Robotniczym” zdecydowały: w sierpniu 1952 r. powstał w Rokicinach pierwszy w powiecie sklep potrzeb kulturalnych — wiejska księgarnia.

Nie sztuką było powołać go do życia. Sztuką było go rozwinąć. Na szczęście zainteresowali się nim zarząd gminnej spółdzielni, nauczyciele, działacze oświatowi.

Nauczyciele z młodzieżą podjęli się zaszczytnej funkcji: kolportażu książek do poszczególnych gromad. Książka docierała do zagrod chłopskich, pukała do drzwi, zdobywała wioskę.

Kierowniczka szkoły w Łaznowie, Bronisława Wawaszczak bierze do rozprawiania książki o ogólnej wartości 1000 złotych co miesiąc. Bo w zasięgu działania ob. Wawaszczak, prócz lektury szkolnej cieszą się wielkim popytem dzieła Prusa, Orzeszkowej, Konopnickiej, Słowackiego, Gorkiego, Szolochowa, Żeromskiego, Ażajewa, Niewerłowa itp. W Łaznowie rozeszło się również kilkadziesiąt egzemplarzy Historii WKP(b) i Zyciorysu Stalina. Obecnie masowo rozeszła się dzieła Sienkiewicza: „Potop”, „Quo Vadis”, „Pan Wołodyjowski”.

Pomoc w kolportażu książek dało księgarni wiejskiej w Rokicinach również nauczycielstwo z Popielaw i Rokicin. Dziś miesięczne obroty za książki wynoszą tu 3.000 złotych (czyli złotówkę na mieszkańca gminy). A jeszcze rok temu wynosiły one od 100 do 200 złotych...

Wielu chłopów w gminie posiada już własne biblioteki. Właścicielami takich bibliotek są: Juliusz Chmielewski (zwykły w wojewódzkich recytacjach w Łodzi), Jan Malinowski, Antoni Waszczykowski, Sabina Iskierka, Antoni Jędrzejewski, Władysław Marusiński i wielu innych.

Małe biblioteczki tworzą dzieci ze szkoły podstawowej, zakupujące w sklepie pięknie ilustrowane książki z działu dziecięcego. Częściej też zaglądają do księgarni chłopcy po książki rolnicze.

Oprócz działu książek w księgarni w Rokicinach istnieją działy: sportowy, kosmetyczny, papierniczo-piśmienniczy, wyrobów tytoniowych i zabawek dziecięcych. Ostatnio nadarzyła się okazja do sprzedaży aparaty radiowe.

FRANCISZEK SĘDZICKI

Ludowy poeta kaszubski

Z ODWIECZNYCH PRAWD

Stechajta wa, co z renną wstajęta codzień zorzą,
Wa, co was nocne gwizde zaledwie do snu złożą.

Co harujeta z młodu i w późne stare lata —
Na co do waju życe? Co mota z tego świata?

Te rozkosz, jaką słuńce, kiej świecie nam, doznaje,
Ptoch, kiedze śpiewo; różne kierz, kiej kwiat wedaje!

Cuchnie we stawie woda, kiej wiatr jej nie przewieje
I nie je w cągłym biegu; beczynny pług rdzewieje.

Umiero dąb, kiej listka świeżego nie przełoży —
W tym cało radosć życia, że wiedno, wiedno tworzy!

JANINA KRAUSOWA

PIEŚNIARZ POLSKIEGO WYBRZEŻA

W roku 1918-ym wyszedł nakładem wydawnictwa Gebethnera i Wolfa w Warszawie zbiorek moich wierszy pod tytułem „Wiatr zawał od pomorskich stron” — opowiada Franciszek Sędzicki. — I sam Żeromski potem mi mówił, że wiersz mój nasunął mu tytuł dla jego historycznego eposu — „Wiatr od morza”. Bardzo byłem z tego dumny, bo podziwiałem i podziwiałem niezmierne Żeromskiego, a nie przestając kochać go za to, co ten wielki pisarz uczynił dla mojego rodzinnego Pomorza.

W rozmowie z Franciszkiem Sędzickim raz po raz padają nazwiska pisarzy, artystów, działaczy społecznych — wszystkich, którzy w ciągu ostatnich 50-ciu lat przebywali na Wybrzeżu, na nim czy dla niego pracowali. Bo 71-letni ludowy pisarz kaszubski, Franciszek Sędzicki, swoją działalność literacką uważał zawsze za służbę społeczną i łączył ją z bardzo żywiołową i różnorodną aktywnością organizacyjną na całym Pomorzu.

Sędzicki, to przykład poety-działacza ludowego, to zarazem — z racji swego wieku — żywa historia ostatnich 50-ciu lat polskiego Pomorza. Zasiadając pisarz jest przy tym wyjątkowo płodnym, czujnym, żywo reagującym na wszelkie wydarzenia; jego obfita twórczość, pisana autentyczną gwarką kaszubską, stanowi od dawna własność wszystkich Kaszubów. Wszystko to czyni z Sędzickiego w ludowej kulturze polskiej zjawisko wyjątkowe. Podobnego poety ludowego nie posiada obecnie żaden inny region Polski.

O Kaszubach mawiano zawsze: „Cassubia non cantat” — Kaszuby nie śpiewają. Pewną swoją nie-muzycznością mieszkańcy morskiego wybrzeża wyrównują z nawiązką swoim zamiłowaniem do poezji. Kaszubska literatura ludowa jest bardzo bogata i różnorodna, a Sędzicki zajmuje w niej miejsce honorowe — bezpośrednio po autorze opowieści poetyckiej „O panu Czornieście, co do Pucka po serce jechol” — Hieronimie Drodzowskim i Aleksandrze Majkowskim. Równy swoim wielkim poprzednikom zasługami społecznymi, przewyższa ich niewątpliwie wysokością poetycką lotu.

Franciszek Sędzicki urodził się 11 marca 1882 r. w małej rodzinie chłopskiej na Kaszubach w powiecie kościerskim. Jego rodzina osiadła tam od wielu pokoleń. Rodzina Sędzickiego — to przywiązani do Kaszub rybak i rolnik. Cechą charakterystyczną wyróżniającą ich ze środowiska wiejskiego była „ciekawość świata”: zainteresowanie słowem drukowanym, podróżami, poznawaniem nowych ludzi. Z ubogiej rodziny Sędzickich wyszło kilku nauczycieli i wędrujących po dalekich morzach marynarzy. Franciszek Sędzicki odziedziczył po swych przodkach tę iskrę twórczego niepokoju, która uczyniła z niego poe-
te.

Skromnemu wiejskiemu chłopcu było bardzo trudno o start życiowy. Próbował nauczycielskiego chleba; próbował wreszcie pisać i publikować swoje pierwsze utwory. Od roku 1906 zaczął drukować w „Gazecie Gdańskiej” pierwsze, nieśmiało próby artykułów i wierszy. Publicystą oryginalnym stał się na łamach dodatku do „Gazety Gdańskiej” noszącym tytuł „Drużba”.

Zbliżenie się z doktorem Aleksandrem Majkowskim — redaktorem czasopisma „Gryf”, przywódcą ruchu młodokaszubskiego, było początkiem nieustającej dotychczas pracy Sędzickiego, jako kaszubskiego działacza regionalnego. W pracy tej towarzyszyła mu nieustannie jego poezja. Głos poety nie zamilkł w okresie najcięższego ucisku wynaradawiającego, i mimo ciężkich prześladowań — stał się orężem w walce o polskość Wybrzeża. Ludowy poeta położył na tym polu trwałe zasługi. Rzadko można znaleźć przykład twórczości poetyckiej, tak niezmiernie czującej na potrzeby społeczne, tak oddanej narodowej i społecznej służbie.

Działalność Franciszka Sędzickiego i wpływ, jaki wywierał jego wiersze, trafiały do zrozumienia przez pruską cenzurę. Już pierwszy jego zbiorek poetycki — „Dumki z kaszubskich pól” — został w r. 1911 skonfiskowany. Cenzor Otto Rauch pisał w uzasadnieniu swej decyzji: „Są to elegie bohaterkie, pieśni patriotyczne i miłosne — pisane w narzeczu kaszubskim, a wyrażające najgłębszy żal Polaka-Kaszubę z powodu utraty Kaszub, najpiękniejszej krajiny ziem polskiej, ale też w rzewnych słowach wypowiadające nadzieję wybaczenia i wyzwolenia z niewoli...”. Mówią one: „Jestem Kaszubem i Kaszubą zostanę. I jakkolwiek ta gorąca ukochna ziemia jęczy jeszcze w niewoli, jakkolwiek jej niwy odciągają łzami, wylanymi przez jej mieszkańców z powodu utraconej wolności i wszelkich prześladowań — Kaszuby nie są jeszcze stracone... Nadszedł czas, abyśmy ze snu powstał”. Tak recenzował poezję artysty cenzor zabory. I to wy-

starczyło, aby te piękne patriotyczne wiersze nie ujrzały nigdy światła dziennego.

Cenzor pruski zrozumiał ładunek emocjonalny wierszy Sędzickiego i wywierany przez nie wpływ. Pod prostą bowiem, często niefrasobliwą formą ludowej „frantówki”, w przeznaczonej dla wiejskiego odbiorcy piosence, w sztucznie świeclicowej — kryły się pobudzające do miłości ojczyzny kultury myśli patriotyczne, umacniające wiarę w powrót Polski nad Bałtyk. Poezja Sędzickiego zawierała poza tym ostre potępienie niesprawiedliwości społecznej i gorące współczucie dla wiejskiej i rybackiej biedoty, a zwłaszcza dla krzywdzonych przez ustrój kapitalistyczny dzieci ludzi pracy — i dlatego była ona dobrą lekcją społecznego radykalizmu.

Franciszek Sędzicki ma w swym dorobku twórczość bogatą i urozmaiconą tak w treści, jak i w formie. Oparta na ulubionych na Kaszubach motywach ludowych, twórczość Sędzickiego dzieli się na kilka rodzajów. Będąc jednak przede wszystkim poetą, Sędzicki wypowiada się najchętniej w wierszu lirycznym. Jego liryka, mocno związana z ziemią i ludźmi, jest zwierciadłem życia Kaszub w najszerszym pojęciu tego słowa. Nie ma kaszubskiej osady, która by się nie znalazła w jakimś utworze poety. Nie ma zjawiska w życiu kaszubskiego ludu, które by się nie odbiło w jakimś wierszu. Wędrując po rodzinnym kraju wśród bliskich ludzi są najczęściej spotykana osnowa utworów Sędzickiego. Czy będzie to podobny ludowej śpiewce poemacie „Pojedźmy na Kaszuby” czy legenda wierszowana „Otomin i Odmiana” czy opowieść o pomorskich rybakach „Gda i Wda” czy liczne liryki z tomów „Jochinek Czwaruch, gęsi pasturk” przejmująco malujące dolę sieroty, pastucha u wiejskiego bogacza, Trześcią sztuki scenicznej „Widmo” są walki narodowościowe na Kaszubach, z ostrym klasowym rozgraniczeniem bogatych, zaprzeczonych umogów i ofiarnej, walczącej o lepsze jutro biedoty wsi i miasta. Ulubione i często grywane „Jaselska rybackie” w tradycyjnej formie noworocznego widowiska, skierowują ostrze satyry przeciwko wyzyskiwaczom. Świeclicowe utwory sceniczne „Dwa młode światy” i „Dziwowski w Smiechowiskach” są doskonałymi sztukami regionalnymi o radykalnym wydźwięku społecznym.

Mnogość, aktualność, celność utworów Sędzickiego i ich koloryt lokalny, dostatecznie tłumaczą ich znaczenie dla Kaszub. Nie ma wiejskiej świetlicy na Kaszubach, w której by nie rozbrzmiewały piosenki i frantówki Sędzickiego, w której nie deklamowano by jego wierszy, nie wystawiano jego utworów scenicznych. Procesem charakterystycznym jest to, że satyryczne frantówki Sędzickiego wędrują ze wsi do wsi, już jako prawdziwa własność ludu kaszubskiego z aktualnymi dla każdego środowiska zmianami. A więc cały cykl frantówek o chłopie — pijaku, niestałym zalotniku, figlarnej dziewczynie, leniwiej gospodyni, niedobranym małżeństwie — wszedł już na stałe do repertuaru zespołów świetlicowych. Wartość społeczną tych utworów jest nie mniejsza od ich waloru poetyckiego.

Okres okupacji, który Sędzicki spędził na Kaszubach w oddziale partyzanckim, wzbogacił jego twórczość w aktualne utwory polityczne, a jego „Śpiewka partyzancka” jest i dzisiaj powszechnie śpiewana przez młodzież kaszubską.

Popularność utworów Franciszka Sędzickiego jest na jego rodzinnym Kaszubie bardzo duża. Utwory poety są wykonywane we wszystkich kaszubskich świetlicach i szkołach, często anonimowo, tak dalece bowiem stały się własnością społeczeństwa. Nawizko jego jest powszechnie znane i otoczone szacunkiem i głęboką miłością.

Franciszek Sędzicki ukończył nie dłużej 72 lata. Po wojnie osiedlił się w Gdańsku, gdzie pracuje w Bibliotece Miejskiej, oddając tej placówce cenne usługi, jako wybitny znawca regionalizmu kaszubskiego. Nie oddał też na bok piękna. W ostatnim czasie napisał piękny wiersz w gwarkę kaszubską „Leć pokójko gotębico” oraz wspomnienie o niedawno zmarłym pomorskim działaczu społecznym, Kazimierzu Banaś — Purwinie. Zasiadł Franciszek Sędzickiego uczciły Wybrzeże, przynajmniej w 1951 r. nagrodę miasta Gdańska.

Omawiając twórczość Franciszka Sędzickiego — zjawiska tak cennego w historii naszej ludowej kultury — trudno pominąć milczeniem sprawę ogromnej wagi, bolesną i dla autora, i dla odbiorcy jego poezji. Doskonała poetycko i celna społecznie, a popularna wśród Kaszubów twórczość Sędzickiego znana jest w tej chwili wyłącznie z ręcznych odpisów i dwóch wojennych przedruków na powie-lacu. Utwory Sędzickiego poety ziem kaszubskiej zasłużyły sobie na to, aby Ludowa Spółdzielnia Wydawnicza zatroszczyła się o ich wydanie w obszernym wyborze.

Janina Krausowa

ANNA BUREK

O WŁAŚCIWY KIERUNEK NATARCIA



WUBIEGLYM tygodniu odbyła się narada kierowników bibliotek wojewódzkich — sekretarzy IV-go etapu konkursu czytelników wiejskiej. Dala ona obraz dotychczasowej pracy nad konkursem na odcinku organizacyjnym.

Cyfrы i fakty jakie zostały na naradzie przytoczone, skłaniają do pewnych przemysłów.

Oto na dzień 5 listopada w przodującym województwie olsztyńskim zwerbowano do udziału w konkursie 6.893 osób, czyli plan wykonano zaledwie w 43 proc. Na ostatnim miejscu znajduje się woj. warszawskie z 4159 czytelnikami na zaplanowane 50 tys. Jakże daleko jeszcze do pełnej realizacji zobowiązań, podjętego w maju przez Zjazd Przodujących Czytelników — w IV etapie konkursu weźmie udział pół miliona chłopów!

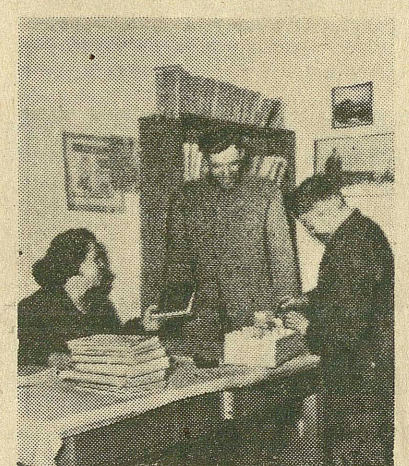
Choć obecnie sytuacja zmienia się z dnia na dzień, trzeba sobie uświadomić fakt niewątpliwy: u źródeł tych niedociągnięć leżą błędy, które mogą zaważyć na dalszej pracy z czytelnikami na wsi, na dalszej popularyzacji książki. O niektórych z tych błędów mówiono na naradzie.

Organizatorami konkursu jest oficjalnie 16 organizacji społecznych i politycznych, takich jak ZSCH (który rozpoczął akcję pierwszy i prowadził ją sam przez III etap) ZMP, SP, biblioteki. Pozytywnie wie istnieć możliwość darcia do masowego odbiorcy książki, do wszelkiego typu czytelników.

W praktyce okazuje się jednak, że chociaż na szczeblu wojewódzkim i powiatowym organizacje te współdziałały z komisjami czytelnickimi, nie umiały jednak zmotywować swoich ogniw dolowych, przede wszystkim gromadzkich. Nie doceniają więc one faktu, że

konkurs może i powinien pomóc im w pracy organizacyjnej i politycznej, że jest to jedna z form pracy np. z młodzieżą. Ożywienie wielu martwych kół ZMP, wytyczenie im konkretnych zadań w gromadzie może być przeprowadzone przez ich udział w konkursie. Przed organizacjami masowymi staje tu więc wielkie zadanie: postawienia przed ogniwami terenowymi konkursu, jako jednej z naczelnych prac okresu jesienno — zimowego.

Bibliotekarze ze Szczecina chcą wykorzystać kursy upowszechniania wiedzy rolniczej (a punktów szkoleniowych będzie w woj. szczecińskim 500) jako zespoły konkursowe. Jest to bardzo słuszne i świadczy o właściwym widzeniu spraw konkursu. Przecież jednym z jego zadań jest podniesienie poziomu wiedzy rolniczej, a przecież w tym jedynie aspekcie można mówić o podniesieniu kultury wsi. Jak więc można oceniać postępowanie Okręgowego Zarządu PGR-ów w Koszalinie, który na 900 gospodarstw zgłosił zaledwie 10 zespołów? Dlaczego na zjeździe mi-



fot. A. Mustat

JAN JELONEK

Na temat muzeów postępu społecznego

PROF. Jan Szczepański, w artykule pt. „Zakładamy muzea postępu społecznego” (Nr 44 „Wsi”) interesująco opisuje urzędzone muzea kolchozowe w ZSRR.

Wiadomo, że muzeum, jako instytucja kulturalno — historyczna, spełnia bardzo ważną rolę w społecznym wychowaniu — szczególnie młodzieży. Zgromadzenie w jednym miejscu chronologicznie ułożonych eksponatów, obrazuje drogę postępu człowieka w jego rozwoju ekonomicznym, kulturalnym, społecznym i politycznym.

Wzięmy dla przykładu powiat Łędzki lub — konkretnie — Zagłębie Dąbrowskie. Na 56 gromad w powiecie, w 20 powstały już spółdzielnie produkcyjne; objęły już one 35 proc. terytorium powiatu. Z czasem — z tych 56 spółdzielni może powstać 10 czy 20 dużych, bogatych i dobrze zarządzanych gospodarstw społecznych. W dużych spółdzielniach przemiany społeczne biec będą tak szybko, że dla ich wyjaśnienia trzeba będzie zorganizować muzeum z chronologicznie ułożonym materiałem dokumentarnym.

A przecież Zagłębie Dąbrowskie — to nie jedno miasto lecz uprzemysłowiony rejon górniczy i rolniczy. Zagłębie — to kolebka górnictwa i ziemia dawnego bractwa gwarków wyszukiwanych przez skarbników biskupich. Tu zrealizowano patriotyczne hasła Staszica. Tu powstał Bank Polski i pierwsza w Polsce kopalnia Reden, pierwsza na większą skalę huta Bankowa. Zagłębie — to kolebka KPP. Gościło ono Dzierżyńskiego, Hibnera, Nowotkę i Bieruta, tu działał tow. Zawadzki.

W Zagłębiu Dąbrowskim lata się krew robotnicza w walce o 8-mio godzinny dzień pracy i o wolną Polskę. Tu w roku 1918 i 1919 powstały pierwsze rady robotnicze i tu mieliśmy wspaniałe zrywy górników, broniących kopalni Mortimer i Klimontow przed zniszczeniem.

Słowem, Czerwone Zagłębie Dąbrowskie warte jest, aby czym prędzej mogło we własnym muzeum przedstawić swą wspaniałą historię. Trzeba pokazać jej młodzieży Zagłębie, uświadomić, że wspaniałe perspektywy, jakie ma dziś przed sobą, nie przyszły same, że wyro-

sły one na ziemi obficie zroszonej krwią robotniczą.

Dzisiejsza młodzież, wyjeżdżająca na studia do Wrocławia, Poznania, Krakowa lub do Stolicy, z przykrością dowiaduje się na miejscu, że — jak na przyszłych działaczy tej ziemi — wie o Zagłębiu za mało. Nie wystarczy wiedzieć coś niecoś o Sosnowcu, Będzinie, czy Dąbrowie; trzeba też znać historię lepiarek nad Brynicą, nor i jaskiń na Warpiu, biedaszybów zagórskich i miłowickich. Trzeba znać dzieje wspaniałej manifestacji pierwszomajowych i strajków okupacyjnych Mortimeru i Klimontowa.

Znać Zagłębie, to — obok znajomości hut i kopalń — poznać genialną robotniczą i górniczą wyzyskiwaną przez kapital rodnym i zagraniczny aż do zepchnięcia go w nędzny tłum bezrobotnych bieda — szubkarzy.

Społeczna wiedza, niezbędna dla działacza danego terenu, może dać tylko dobrze przemyślane i mądrze zorganizowane muzeum.

Różni pisarze i monografici starali się pisać na tematy Zagłębia Dąbrowskiego. Fascynowała ich wielkość ludzkiego trudu ukrytego w dziesiątkach dymiących kominów i w szumie tysięcy maszyn różnego rodzaju. Fascynowały ich gromady ludzi — gnomów wyszukiwanych w podziemiach kopalnianych i ludzi walczących, wyrosłych z żaru hut i walcowni.

Ostatnio takie próby podjęła M. Warnerska, dając w swej „Czerwonej Kokardzie” opis walk i dążeń proletariatu Zagłębia w okresie 30 przedwojennych lat; w drugiej swej pracy pt. „Domem naszym las głęboki” Warnerska zawarła fragmenty walk wolnościowych z okupantem hitlerowskim. Być może autorka — po udanych próbach — sięgnie dalej i zechce połączyć fragmenty życia Zagłębia w jedną całość. Czy nie będzie pomyślała o brak materiałów historycznych, bibliografii i dokumentów, rozrzuconych dziś między tysiącami ludzi? Zebrać takie materiały może tylko muzeum. Po ich usystematyzowaniu, mogą one w nim służyć, jako otwarte archiwum dla każdego badacza i pisarza.

Jan Jelonek

czurnowców w Olsztynie nie padło ani jedno słowo o konkursie? Drugim ważnym niedociągnięciem jest niedostateczne wciągnięcie do konkursu inteligencji wiejskiej. Jedyne w woj. warszawskim bibliotekarze pomyśleli o zorganizowaniu zespołów czytelnickich przy GS-ach.

Inteligencja wiejska może i musi stać się nie tylko organizatorem lecz i uczestnikiem życia kulturalnego, a poprzez to — i gospodarzem wsi. Tymczasem, jak dotąd jest ona — poza nauczycielstwem — zupełnie bierna. Przykład POM w Opatówku, gdzie koło ZMP wraz z dyrektorem POM przystąpiło do IV etapu konkursu czytelnickiego, jest wzorem należytego ustosunkowania się inteligencji do czytelnictwa i właściwego widzenia roli IV-go etapu konkursu w jej własnych zadaniach. Jest to jeszcze jeden odcinek pracy nie dostrzegany przez organizatorów, Odcinek niezwykle ważny.

Jak wynika ze sprawozdań kierowników bibliotek wojewódzkich, najsłabszą wygląda praca w gromadzie. Przyczyny tego tkwią w niedocenianiu wagi konkursu przez liczne ognia dolowe. Milczą o konkursie radziecy; nie nie piszą gazetki gminne. Radzko mówi się o nim na gminnych zebraniach sołtysów. Do tego trzeba dodać niewłaściwe widzenie terenu przez „górcę”.

Literatura rolnicza czeka na czytelnika

Państwowe Wydawnictwo Rolnicze i Leśne wydało ogółem 19 milionów książek i broszur. Byłoby to niemało, gdyby tych 19 milionów egzemplarzy docierało równocześnie do rąk czytelników. Ale nie wszystkie wydawnictwa są przeznaczone dla przeciętnego rolnika.

PWRiL wydaje także serie na poziomie naukowym lub zaspokajające potrzeby specjalistów z różnych dziedzin. Jeżeli je odczytać, zmniejszy się znacznie liczba tytułów pozostających do podziału. Czy te przynajmniej docierają tam, gdzie są potrzebne? Rzecz pozornie dziwna, a jednak prawdziwa: najtrudniejszy zbył mają broszury popularne, najbardziej przystępne, a więc zdawałoby się najbardziej pożyteczne.

Nie znajdziemy rozwiązania tej zagadki, jeżeli prześledzimy drogę, jaką odbywa książka od wydawcy do czytelnika, a raczej jej trzy drogi.

Wszystkie wydawnictwa PWRiL przejuje Dom Książki, który z kolei zaopatruje biblioteki gminne, gminne spółdzielnie i własne sklepy. Domy książki znajdują się jednak tylko w miastach, a w GS-ach książki są ciągle jeszcze kopciuszkiem; spoczywają w najlepszym wypadku na półkach, nie wychodząc naprzeciw czytelnika, nie zachęcają go do nabywania. W rezultacie literatura rolnicza na wyższym poziomie trafia do fachowców, do specjalistów, do przodujących rolników, którzy jej szukają i wiedzą, gdzie ją znaleźć; natomiast popularne wydawnictwa, przeznaczone dla najszerszej rzeszy rolników, nie raz długo leżą w sklepach, czy magazynach.

TADEUSZ SŁIWIŃSKI

ZANIEDBANA DZIEDZINA

LUDZIE z czelzińskiego PGR... Będzie ich razem około 30-tu. Gospodarują na przeszło 1000 ha! To jest doprawdy imponujący widok, kiedy w blade, jesienne poranki brygadziści Gargula wysyła ludzi w pole. Suną traktory; ciągną ciężkie plugi i siewniki. Kopalnie wyrzucają ziemiaki, zbierają je czelzińskie kobiety.

W tej wzorowej organizacji pracy zdumiewające jest to, że maszyn tu znacznie więcej, niż ludzi. A ludzie — to do niedawna jeszcze w dużej części analfabeci, najsłabsza biedota z Rzeszowszczyzny. Jakże szybko opanowali współczesną technikę uprawy ziemi!

Ciągną się w nieskończoność buraczane, rzepakowe i rzepkowe pola, niemały kawał sadu, plantacje soi, rzącznika, słonecznika, rozległe łąki. Jest oczywiście i pszenica...

Z Czelina wszędzie daleko. Do najbliższej stacji kolejowej Mieszkowice — bite 10 km; do powiatowego Kostrzyna — 38 km. Te odległości utrudniają bezpośredni kontakt z „szerszym światem”.

Rozmawiałem z chłopami czelzińskimi. Niewiele ich jest. Mała wioska przylutula się do wielkiej kępy drzew otaczających PGR. Mieszka tu kilkadziesiąt rodzin. Na palcach policzyć tych, którzy w ciągu ostatnich lat wybrali się gdzieś dalej poza gminę. Wyjątek stanowią mechanicy z PGR i dyrekcja; ze wsi — niektórzy członkowie spółdzielni produkcyjnej, skupiającej jedną czwartą gromady.

To odcienie od świata stanowi nie małą trudność do przezwyciężenia. Ale — jak mi opowiadał przewodniczący spółdzielni produkcyjnej Kwiryn — „u nas teraz same majsterki”. Rzeczywiście: niemal wszystkie remonty maszyn i motorów przeprowadza się na miejscu. Taki Szymański z PGR — bryga-

Jeden z bibliotekarzy, zapytany na naradzie do kogo docierają pracownicy bibliotek wyjeżdżający w teren, odpowiedział, że do sołtysa i kierownika punktu bibliotecznego. „Góra” więc w wielu wypadkach nie widzi aktywnego gromadzkiego, który wyrósł w czasie poprzednich etapów konkursu; nie widzi przodujących gospodarzy, którzy winni stać się propagatorami i organizatorami konkursu w swoich gromadach. A przecież są tacy, którzy w tym roku zwerbowali ponad 100 uczestników konkursu. Np. Eleonora Urbaniczka z Wierzbowa (pow. Drawsko) zwerbowała dwustu ludzi. Praktyka bibliotekarzy woj. gdańskiego i kościańskiego, którzy wysłali indywidualne listy do przodowników czytelnictwa z prośbą o pracę w IV etapie, przykład woj. szczecińskiego, w którym do prac w konkursie wciąga się przodujących chłopów — uczestników Zjazdu Szczecińskiego — mówi o właściwym kierunku natarcia.

Niestety nie wszędzie prowadzone są te słuszne prace. Aktyw gromadzki, przodujący czytelnik i przodujący gospodarz — powinni stać się głównymi czytelnikami w walce o czytelnictwo w IV etapie konkursu. Takie założenia należy uznać za myśl zasadniczą w dalszej pracy nad upowszechnianiem czytelnictwa na wsi.

Anna Burek

Największe rozpowszechnienie (o bok zaspisem) mają broszury „Małego Poradnika Rolnika” rozchodzącego się w 140 tys. egzemplarzy. Takie powodzenie „Poradnik” zawdzięcza głównie temu, że sam „przychodzi” do rolnika drogą prenumeraty pocztowej.

W sumie więc stanu czytelnictwa literatury rolniczej na wsi nie można uznać za zadowalający.

Bogactwo literatury fachowej zgodnie z uchwałami IX Plenum zapewne wkrótce wzrośnie. Ale i dziś już mamy sporo broszur, popularnych mogących pomóc w usunięciu najbardziej rażących zaniechań. W wielu broszurach omawia się szkodniki i choroby roślin oraz sposoby ich zwalczania. Liczne prace dotyczą uprawy zbóż, ziemniaków, buraków, roślin oleistych. Tak samo jest w dziale sadownictwa i warzywnictwa. W dziale zootechniki znajdujemy około 40 przystępnych książek i broszur odnoszących się do „zadań w dziedzinie wzrostu hodowli i rozwoju bazy paszowej” wskazanych w tezach.

Wymieniliśmy tu przykładowo kilkanaście wydawnictw potrzebnych i dostępnych rolnikowi gospodarującemu indywidualnie. Dla fachowców służby rolniczej, dla PGR-ów i spółdzielni produkcyjnych istnieje jeszcze cały wachlarz literatury specjalistycznej na wyższym poziomie.

Mimo pewnych luk i braków istniejąca literatura fachowa zawiera wiele wartościowych potrzebnych i pożytecznych. Chodzi tylko o to, aby nie czekała na swego czytelnika, lecz wyszła mu naprzeciw.

BARBARA LIPiŃSKA

W TROSCIE O TWÓRCZOŚĆ LUDOWĄ

PIERWSZY Ogólnopolski Konkurs Twórczości Ludowej zakończył się.

Nie czas jeszcze dzielić się z czytelnikami jego wynikami, zrobimy to później. Ale przeglądając nawet pobieżnie nadesłane na konkurs prace, stwierdzamy, że jego zasięg był masowy. Prace konkursowe reprezentują różne poziomy artystyczne, ludzi z różnych środowisk.

Od I Ogólnopolskiego Zjazdu Twórczości Ludowej mija rok. W tym niedługim okresie zaobserwowano postępujące na froncie twórczości ludowej przegrupowywanie sił i zmieniający się zasadniczo kierunek natarcia. Na czym to polega?

W pierwszych latach po wyzwoleniu przed społeczeństwem i władzą ludową stanęła sprawa odczucia artystów ludowych troski o opiekę oraz rozwijania i upowszechniania ich dorobku. Sprawa była palącą, gdyż — wobec wdzierania się na wieś drobniomieszczańskiej kultury lat międzywojennych — trzeba było na gorąco chwycić piękno pieśni ludowej, tańca, stroju; zagrażało im bowiem bezpośrednie wyparcie przez błędnie pojmowany „awans kulturalny”.

Pierwsze uderzenie mogliśmy skierować na te ośrodki, gdzie twórczość ludowa była żywa, zdrowa i mocna — by związać ją z wydarzeniami, którymi żył wtedy cały kraj. Następnie — wykorzystując doświadczenia tych ośrodków — trzeba było ożywić zamierające regiony sztuki.

W stawianiu tych pierwszych kroków na polu kontynuacji ludowej tradycji osiągnięliśmy poważny sukces: stworzyliśmy prężne ośrodki twórczości ludowej (przykładowo — malujące Złotopie) i wychowaliśmy sobie „generałów” twórczości ludowej, pomagając im w zrozumieniu nowych perspektyw i nowych zadań ich sztuki, przebudowując niejednokrotnie ich światopogląd.

Zesrodkowanie uwagi na człowieku, na twórcy, zdecydowana walka z anonimowością ludowej sztuki — dały nam artystów tej miary, co reprezentujący kartuskie garncearstwo Leon Necel, czy znana ze Starego Miasta Felicja Curyłowa. Pracowali oni w czolowej twórczości ludowej, otwierając przed nią nowe, nieznane dotychczas perspektywy. Ich wyteżona praca sprawiła, że możemy już pójść głębiej w teren i zaznaczyć na mapie ludowej twórczości nowe ośrodki, i nowych ludzi.

*

Niewielkie, bo kilkunastocentymetrowej wysokości wypalanki z gliny. Jest ich 26 sztuk. Nie wszystkie noszą znamiona prawdziwego artysty. Niejednokrotnie na plan pierwszy wybija się w nich wieniec szczegółów kosztem realistycznej prawdy.

Ale nawet fragmenty tych prac świadczą o dużych możliwościach ich wykonawcy i o niezaprzeczalnym poczuciu formy.

W zgromadzonych rzeźbach jest szczególnie dużo postaci kobiecych. To zastanawia — i kieruje uwagę na nieznana twórczynię prac.

Do wszystkich eksponatów nadsyłanych na wystawę dołączane są listy od twórców ludowych, zawierające opis przebiegu pracy oraz

wyjaśniające treść i temat eksponatu. Tu takiego listu brak.

Autorkę rzeźb, wykonanych jedną z najtrudniejszych technik, ukazuje krótka notatka, zamieszczona w katalogu konkursowym: „Chmiel Emilia, urodzona w 1891 roku w Medyni Głogowskiej w pow. łanuckim. Zawód: była robotnica folwarczna. Gruntu nie posiada. Była analfabeta, gdyż całą młodość spędziła w służbie u bogacza wiejskiego. Czytała i pisała umie tylko dzięki własnym wysiłkom”.

Tyle zawiera notatka.

O wiele więcej mówią o autorce jej rzeźby. Wyraźnie niż gdziekolwiek występuje w nich zespolenie artysty z jego dziełem; w ten sposób nieznana nikomu rzeźbiarka, w nadesłanych na konkurs rzeźbach zamknęła historię swego życia.

Cyklowi rzeźb Emilii Chmiel można by nadać tytuł: „Moje życie”. Bo coż ten cykl zawiera? Oto starsza kobieta o przegiętej sylwetce postaci dźwiga kosz kartofli; następna pochyla się nad strumieniem, gdzie do prania nędznej bielizny służy jej tylko kijanka; trzecia dźwiga ciężkie nosidła z wodą.

Twarze tych rzeźbionych prototypów Emilii Chmiel — dziś już 60-letniej staruszki — pełne zmarszczeń i bólu, mają głęboką wymowę. Cykl zamyka obraz kobiety-analfabety, wpatrującej się w książkę, której nie może przeczytać... Jest to obraz, będący ilustracją dramatu życia tej, która go stworzyła.

Chmielowej nie łatwo było pojąć pracę nad artystycznym uformowaniem gliny. Ukradkiem, drogą podpatrywania, przyswajala sobie z trudem skomplikowaną technikę. Dziś jej twórczość urasta do miary symbolu tych możliwości twórczych, które tkwią na wsi jeszcze nie odkryte.

Emilia Chmiel — nieznana przedtem artystka ludowa, poprzez swój udział w konkursie wskazała nowy odcinek pracy; odnajdywanie, rejestrowanie, udzielanie pomocy takim jak ona talentom.

Eksponaty Chmielowej są nie tylko odgłosem ponurej przeszłości, lecz i żywym głosem teraźniejszości. Mówi o tym artystycznie wykonana rzeźba młodej, radosnej dziewczyny wiejskiej, trzymającej w wysoko wyciągniętych dłoniach gołębia — symbol pokojowej pracy polskiej wsi. Ten optymizm twórczości starej kobiety wiejskiej decyduje o jej sile, o jej społecznym oddziaływaniu.

Warto, by o podobnych Chmielowej artystach ludowych pomyślało jury konkursowe przy przeglądzie i ocenie prac. Stoimy bowiem przed nowym etapem rozwoju twórczości ludowej, przed zdobyciem i uruchomieniem wielkich rezerw samorodnych artystów; musimy zastosować wobec nich inne niż dotychczas kryteria oceny. Bo pomogą nam oni wydobyc z zapomnienia nieznanych, pozabawionych opieki artystów — i troską o ich twórczość rozjaśnić ich ciężką, bolesną przeszłość.

Wtedy cel konkursu, którego zadaniem było ograniczenie najszerszych mas chłopskich — zostanie z pewnością osiągnięty.

Barbara Lipińska

ment z książki Semionowa: „Hitlerowski doktryny w amerykańskim wydaniu”. Ideologowie współczesnego imperializmu amerykańskiego przejęli od niemieckich faszystów jedno z najbardziej agresywnych pojęć: koncepcję ruchomych granic. Politycy powołują się — wzorem swych niemieckich — faszystowskich poprzedników — na „naturalny rozwój młodego narodu”, lub na „rośnięcie potrzeby bezpieczeństwa”. Wszystkie te frazesy mają na celu usprawiedliwienie rozszerzania granic... I tak np. amerykański geopolityk Weller domagał się, aby „granica amerykańska” przebiegała



przez Dunaj, Bałkany i Bosfor. Weller w następujący sposób określa „granice amerykańską”: „Jest ona wszędzie tam, gdzie może dobiegnąć amerykańska bomba. Znajduje się ona wszędzie, gdzie mogą opuścić się spadochroniarze amerykańscy”.

Wybuchła nadszpiegowanie ciekawa dyskusja. Najpierw odezwał się Kwiryn.

— Wicie: to gadanie przypomina mi, jak to Piłsudski chciał nam granice przesunąć i dawać ziemi,

Weźcie se na Ukrainie, albo Białorusi. A nasze zachodnie ziemie, to sprzedał kapitalistom.

Posypały się niezorganizowane głosy.

— Ano rzeczywiście, kiedyś w naszych stronach to amerykańska granice zakładali. Zrucili z samolotu spadochroniarzy. Wopięci i co partyjniejsze chłopci wyłapali ich, jak szczerów. Powiadali, że oni do nas w ramach pomocy dla zafacanych... A owa „pomoc” — to była trucizna, rewolwery i granaty...

— Prawda w tej książce — odezwał się Zieliński, prezes gromadzkiego koła ZSCH, średniak. — Hitlerzy też szukali na cudzej ziemi miejsca. Gdzie to można kupić? Ludzie z Czaplina posiadają świadomość polityczną. Ale nie nadają ona za rozwijom ich umiejętności. Kwiryn zaczął gospodarować kolektyną na 100 ha z pięcioma ludźmi, żadnego kawałka ziemi nie zostawił odłogiem. Zresztą nie tylko w Czapliniu; również w kilku-nastu okolicznych gromadach nie pracuje się nalezyście nad pogłębianiem wiedzy politycznej. W Kostrzynie widziałem całe stopy literatury politycznej; zalegały one lokale Partii, ZSCH, ZMP. Uderzyła mnie nieśmiałość miejscowych „czynników” w walce o czytelnictwo literatury politycznej. — Za trudna; nie wiadomo, jak ją ludzie przyjmą; „niechodliwa” — oświadczone mi w ekspozyturze „Ruch”.

Idą długie jesienne i zimowe wieczory. Akcja szkolenia politycznego, żywe bezpośrednio zastawianie treści książki z bogatymi osobistymi doświadczeniami robotników rolnych, mało i średniorolnych chłopów — powinna w poważnym stopniu te wieczory wypełnić.

Zapomniana to bowiem dziedzina, Tadeusz Słwiński



rys. Bimali Horsa

WIESŁAW JAŻDZYŃSKI PODRÓŻ SŁUŻBOWA*)

INSPEKTOR szczerba powiatowego ob. Klaczko wybrał się niedawno w teren dla przeprowadzenia trudnej i ważnej misji. Szo rzeczywiście o nie było jaką rzecz: pewien średniorolny chłop z gminy Wiskitno, nazwiskiem Sabala, wahał się w sposób zgola nieprawdopodobny. Wyjeżdżał już na punkt skupu z ziarnem, to znowu zwracał i tak to się ciągnęło od półtora miesiąca.

Może by do wyjazdu inspektora Klaczki nie doszło, gdyby nie jego sumienność. Nasz bohater zażądał bowiem od GRN w Wiskitnie wykazu opornych. Pismo z gminy nadeszło w przewidzianym terminie. Zastępca przewodniczącego ob. Mikiszka i sekretarz ob. Rutkowski kieli w nim nieszczęsnego Sabale, ile wlezie.

„Zaznacza się, iż wyżej wymieniony przekracza planowane przez nas wahania dla średniorolnych. Powinien z tym skończyć do I.X br. a ciągnie wbrew zezwoleniu dalej. A im bardziej go przyciskać, czy to po linii podatków, kontraktacji, albo dozoru sanitarnego, tym bardziej się zaczyna”.

— Toż to klasyczny średniak! W teren więc — zdobyć go, uświadomić, odzyskać dla sprawy! — wykrzyknął Klaczko i wyruszył w służbową podróż. Bryczkę, jedyną konkę przysłał mu usłużni ojcowie gminy Wiskitno.

Chcąc nie chcąc, musiał jednak nasz inspektor powiatowy rozpocząć akcję uświadamiającą od gminnego konia. Stanął gdzieś koło gromady Kalino i ani rusz dalej. Skądże miał wiedzieć nasz Klaczko, że Kalino leży już w innej gminie, na skutek czego koń z Wiskitna nie czuł się zobowiązany do służbowego truchtu.

— Cholera, jak tu konie takie wierzące, to co dopiero przeydium GRN w Wiskitnie — marwił się ob. Klaczko.

Nie zawsze jednak nieszczęście pędzi na koniu, choć tak często ludzie powiadają.

Koń wrócił do gminnej stajni sam; nie zbłądził także i powiatowy inspektor. W przeydium powiatu go niezwykłe miło obywateli Mikiszka, Rutkowski i Fatek — przez gminnego koła ZSCh.

— Sabala oporny? Skądże znowu! Jaki durniś pana inspektora powiatowego w błąd wprowadzić? Toż to przodownik! Rutkowski, skoczno, ino migiem, po wykazy!

Klaczko przetarł oczy. Rzeczywiście. Na dzień jego przyjazdu Sabala ukończył odstawić zboże, a ziemiaków sprzedał państwu 2040 kg, zamiast planowanych 1.650.

Ładny interes! I jak się tu agitacja przed województwem wykazać? Zasadniczy sens wyjazdu przepadł z kretesem. Co będzie ze sprawozdawczością? — myślał zrozpaczony inspektor.

— No a jak u was sytuacja ogólna? Mikiszka zaśmiał się chytrze, zmrużył szelmowsko lewe oko, w końcu wykrzyknął radośnie:

— Filut z pana inspektora powiatowego, wszystko przygotowane. Wróg wewnętrzny na nas naciska.

— W jaki sposób?

— Ano mamy tu wszyscy silny ucisk w bruchach, trza się będzie czymś mocnym i gorzkim podleczyć.

Nasz Klaczko, człowiek już nie taki znowu młody, w niejednej służbowej potrzebie dobre kolacje jadł; stąd na żółdek szczególnie był wrażliwy i tyle czym zbywać się nie dawał.

W końcowej fazie walki z wrogiem wewnętrzny, prowadzonej z powodzeniem w prywatnym mieszkaniu ob. Mikiszki, nasz powiatowy czynnik zauważył:

— Jadę tego waszego przodownika zobaczyć. Ale dopiero jutro, w godzinach służbowych. Tylko konia proszę mi dać prywatnego; można z szarwarku, Manius, kapużesz?

— I naszym zajedziesz, tylko go ideologicznie uświadomimy, żeś swój chłop.

Służba to służba. Klaczko uważał za swój obowiązek zapytać rzeczowo:

— A z jakiego paragrafu pokryjacie koszty walki z wrogiem wewnętrznym, he, he, he?

— Na razie pokrywamy z funduszu na delegację służbową.

A rano śmiał się do Klaczki cały wiskitnicki świat. Koń niósł lekko od wsi do wsi, przystawiał w złotych lasach, przeglądał się w strumykach. Była to niezapomniana podróż! Tyle może tylko, że Sabala nasz inspektor doszukiwał się nie mógł. Nie ma bowiem takiego chłopu w gminie.

Wśród korespondencji

Czyżby to Artos?

Szanowna Redakcjo!

W przeddzień opisywanych przeze mnie wydarzeń gawędziłem z robotnikiem PGR-u. Siedzieliśmy w stołówce Zespołu Lotyn. Rozmowa niepostrzeżenie zesłała na temat lektury.

— Wie pan — powiedział mój rozmówca — z czytaniem jest u nas trochę gorzej... Haruję przez cały dzień, wieczorem więc walisz się, jak kłoda. A i światło niekiedy nawala... Ale jakieś ciekawy film, albo sztuka w teatrze — w tym miejscu na usta robotnika zaczął się ironiczny uśmiech — to bym chętnie obejrzał...

Nazajutrz, zbliżywszy się do budynku PGR-u, dostrzegłem afisz, zapowiadający przyjazd kina objazdowego. Od czytałem wielki tytuł „Cesarzski piekarz”. Roztrząsałem właśnie w myślach zagadnienie, czy ten — doskonały zresztą — film produkcji czechosłowackiej nadaje się dla wiejskiego widza. Naraz wyrwał mnie z zadumy głos przewodniczącego Rolnej Rady Zakładowej. Stał tuż obok i odcierał czoło jakby wstydił się:

— Proszę tylko pomyśleć, co za pech! Świetlica wólcz jeszcze zawalona zbożem! Byłem u dyrektora. Telefonowałem. Nie da rady: seans nie odbędzie się...

Jednakże w tydzień później zboże ze świeżością zainicjowałem w Lotynach zagościł teatr z prawdziwego zdarzenia.

W sali świetlicowej wystąpił zespół artystów stalinogrodzkiej z „Wieczorem piosenki i tańca”.

Zainteresowanie było olbrzymie. Na widowni falowało morze głów. Ludzie tłoczyli się w przejściach, lepił się do ścian. Chłopska publiczność z przejęciem wpatrywała się w scenkę.

Wpatrywałem się i ja. Ale to, co usłyszałem... mocno mnie zaskoczyło. I nie tylko mnie.

Ze sceny — zwłaszcza z ust konferansjera, który przedstawił się jako ob. Kłaczko — padały się pierwsze dowcipy pod adresem obójki pici; były to banały, godne poziomu smutnej pamięci „Trubadura”.

Dla przykłady pozwolę sobie streścić dwa „rodzinki” tego słowno-muzycznego przedstawienia.

Piosenka „romantyczna”, w której nie brak ani wiosny, ani błękitu nieba, ani...

finału zastrzonego lwim pazurem dwu- znaczniaka:

„Słońce zaszło — i panna Mania też...”

Po tym „numerze” rozległy się huczące brawa. Są jednak okaski, których powinien się wstydić nawet najbardziej niewybredny wykonawca.

Siecz pod tytułem „Nie kłam!” Zdałoby się, szlachetne założenie, potracające o ton dziesięciorga przykazani. A oto fabuła:

Pan domu zakupił u inżyniera-wynalazcy aparat, rejestrujący skrupulatnie każde kłamstwo. By wyprobować precyzyjność mechanizmu, szczerzyły nabywca wyzwa na scenę swą kucharkę (nieprawdą, jakie aktualne!). Sledztwo dotyczy ceny zakupionych na targu jajek.

Wzieliśmy aparat stuktem unicestwia każde słowo, mijające się z prawdą. Wyśokość „koszykowego” została ustalona. Teraz kolej na panią domu. Okazuje się, że i ona posłiznęła się na deptaku cnoty małżeńskie. Oszukany „rozgać” wspomina niewiernej połowicy swą długoletnią wierność. Aparat terkoce bez końca...

Trzeba przyznać, że mistrzowie etrady pamieli i dobitnie odczytali gośpiu, to przynajmniej o „chrząstce ideologicznej” programu. Pod koniec wieczoru wystąpił cały zespół i — w zapętlonych kaskadach, ze sztandarami w ręku — zaintonował Hymn Młodzieży...

Na ulicy usłyszałem rozmowę dwóch młodzieńców i dziewczyny. Trójka dzieliła się wrażeniami wieczoru.

— Morowy kawał! Nie pamiętam, Frank, jak to było z tym zachodem słońca i panna Mania?

— Trzeba było zapisać — odpowiedział zagadnięty.

Świątów! — orzekła resolutnie dziewczyna. A ten koniec ze sztandarami mogli sobie po takim programie podarować.

Chciałem i ja rozmówić się z artystami na temat repertuaru. Ale okazało się, że nie było. Ulecieli się, jak kamary. Pewnie wyruszyli w dalszą drogę, by nieść (tym razem tytuł wieściada dosłownie) „oswiał” kaganiec” między steskione żywego, artystycznego słowa masy chłopskiej.

Horacy Safrin

Świetlica gminna

Świetlica gminna w Radzicach (gm. Drzewica, pow. Opatów) jest jedną z „produktów” planu kulturalnego na wsi wiejskiej. W liście kierownika znajdujemy wiele ciekawych przykładów pracy przede wszystkim młodzieży ZMP-owskiej. W Radzicach bowiem praca społeczna zainicjowała się przeważnie dziećmi, ona też głównie uczęszcza na wieczory świetlicowe.

Czego już dokonał młody kierownik świetlicy z aktywem młodzieżowym — i w jakich warunkach?

Najważniejsze tegoroczne osiągnięcia, które znacznie przyczyniły się do tego, że świetlica przoduje w powiecie, a nawet w województwie — dała agitacja skupowa.

Kierownik nie wygłaszał odczytów, gdyż — mimo prób — z Opatowa nie przysyłano ani prelegenta, ani materiałów. Energetyczny kierownik nie zrezygnował z zaplanowanej akcji: zbierał dzieci, ona też głównie uczęszcza na wieczory świetlicowe.

Czego już dokonał młody kierownik świetlicy z aktywem młodzieżowym — i w jakich warunkach?

Najważniejsze tegoroczne osiągnięcia, które znacznie przyczyniły się do tego, że świetlica przoduje w powiecie, a nawet w województwie — dała agitacja skupowa.

Kierownik nie wygłaszał odczytów, gdyż — mimo prób — z Opatowa nie przysyłano ani prelegenta, ani materiałów. Energetyczny kierownik nie zrezygnował z zaplanowanej akcji: zbierał dzieci, ona też głównie uczęszcza na wieczory świetlicowe.

Czego już dokonał młody kierownik świetlicy z aktywem młodzieżowym — i w jakich warunkach?

Najważniejsze tegoroczne osiągnięcia, które znacznie przyczyniły się do tego, że świetlica przoduje w powiecie, a nawet w województwie — dała agitacja skupowa.

Kierownik nie wygłaszał odczytów, gdyż — mimo prób — z Opatowa nie przysyłano ani prelegenta, ani materiałów. Energetyczny kierownik nie zrezygnował z zaplanowanej akcji: zbierał dzieci, ona też głównie uczęszcza na wieczory świetlicowe.

Czego już dokonał młody kierownik świetlicy z aktywem młodzieżowym — i w jakich warunkach?

Najważniejsze tegoroczne osiągnięcia, które znacznie przyczyniły się do tego, że świetlica przoduje w powiecie, a nawet w województwie — dała agitacja skupowa.

Kierownik nie wygłaszał odczytów, gdyż — mimo prób — z Opatowa nie przysyłano ani prelegenta, ani materiałów. Energetyczny kierownik nie zrezygnował z zaplanowanej akcji: zbierał dzieci, ona też głównie uczęszcza na wieczory świetlicowe.

Czego już dokonał młody kierownik świetlicy z aktywem młodzieżowym — i w jakich warunkach?

Najważniejsze tegoroczne osiągnięcia, które znacznie przyczyniły się do tego, że świetlica przoduje w powiecie, a nawet w województwie — dała agitacja skupowa.

Kierownik nie wygłaszał odczytów, gdyż — mimo prób — z Opatowa nie przysyłano ani prelegenta, ani materiałów. Energetyczny kierownik nie zrezygnował z zaplanowanej akcji: zbierał dzieci, ona też głównie uczęszcza na wieczory świetlicowe.

Czego już dokonał młody kierownik świetlicy z aktywem młodzieżowym — i w jakich warunkach?

Najważniejsze tegoroczne osiągnięcia, które znacznie przyczyniły się do tego, że świetlica przoduje w powiecie, a nawet w województwie — dała agitacja skupowa.

Kierownik nie wygłaszał odczytów, gdyż — mimo prób — z Opatowa nie przysyłano ani prelegenta, ani materiałów. Energetyczny kierownik nie zrezygnował z zaplanowanej akcji: zbierał dzieci, ona też głównie uczęszcza na wieczory świetlicowe.

Czego już dokonał młody kierownik świetlicy z aktywem młodzieżowym — i w jakich warunkach?

l opieszały mi skupie. Bo i aktyw spłusze się nie najlepiej. Jak wynika z listu korespondenta, w GS i GRN nie brak objawów biurokratyzmu, kumoterstwa, przemierzania skarg i zażaleń chłopskich.

W tej sytuacji kierownik świetlicy, gminnej, powinien stać się przedmiotem instytucji gminnej. Odcina to jego pracę od ogólnej akcji, podrywa współdziałanie aktywów gminnych. Aktyw nie interesuje się pracą świetlicy, nie stara się jej rozwijać. GRN nie dba o lokal świetlicowy. Umiejscowienie świetlicy na poddaszu szkolnym odstrasza starszych. Brak zainteresowania starszego aktywu dla pracy świetlicowej nie przyciąga chłwów do młodych świetlic. Dlatego są oni częściowo odizolowani od starszych.

W obliczu nowych zadań stała przed świetlicą poważna problem. P o p i e r w s z e trzeba przyciągnąć i zaktywizować starszych gospodarzy, wypełnić wśród aktywów biurokratyzm i niedocenianie pracy kulturalnej. To pomoże Partii w zmianie stylu pracy politycznej na styl według założeń IX Plenum i zbliży masę chłopów do świetlicy i ZMP-owców. Po d r u g i e: wyśledzić kamie na pogadankach z wiedzy rolniczej w świetle planu, stać się przedmiotem gospodarki gminy, najofiarnej chłopi. Oni właśnie powinni uczyć, jak gospodarzyć mądrze, po mistrzowsku, młodzież zaś powinna ich wzmianić swym entuzjazmem i wiarą w możliwości przeobrażenia przyrody. W tym celu konieczne jest założenie koła skupiającego i starszych i młodzieży. Takie koło musi działać na całą gminę i współpracować ze wszystkimi świetlicami.

Kierownik nie nie pisze o pracy sąsiednich świetlic gromadzich. A świetlica gminna powinna im pomagać. Z tego listu wynika, że biblioteka nie jest powiązana ze świetlicą. Biblioteka ma 57 czytelników. Co czytają — dokładnie nie określa.

I tu więc potrzebne jest powiązanie. Aktyw kulturalny gminy winien umocnić kolektywną współpracę, prowadzić na całym froncie wspólnie zaplanowaną i wspólnie kontrolowaną ofensywę.

B. G.

Gazetka gminna

Gra o świetlicę

T rzeba przyznać, że najbardziej aktywni członkowie świetlicy PGR Chociw (pow. Strzelin, woj. wrocławskie) to ob. Józef Rucki — jej kierownik i miejscowy listonosz, i dzwina rzecz: im byle, o jakiejś akcji, tym gorzej z resztą świetliczan.

Zagadkowa historia, co? Zwłaszcza, że świetlica jest na dobrą sprawę, wcale nieźle wyposażona: posiada radiodiodę, radio, scenę, parterian, stoł ping-pongowy i niemałą biblioteczkę, a jednak ludzie powoli o niej zapominają. Prócz, oczywiście, panów: kierownika świetlicy i listonosza.

Uprawiają oni po dzień dzisiejszy jeden tylko rodzaj zajęć kulturalnych: weł wywołują się dwóch zwykłych krzesel i małego stolika. Potrzebne były pieniądze. Fakt szczególnie ważny: sytuacja przedstawiała się bowiem tak: jeżeli wygrywał pan kierownik — nie przysychała gazeta; gdyż pan listonosz nie chciał własnej kieszeni nadwierać.

Ale tylko na oko sądzić można, że tego rodzaju gra jest „zajęcia świetlicowe”. Wymagają jednak dwóch zwykłych krzesel i małego stolika. Potrzebne były pieniądze. Fakt szczególnie ważny: sytuacja przedstawiała się bowiem tak: jeżeli wygrywał pan kierownik — nie przysychała gazeta; gdyż pan listonosz nie chciał własnej kieszeni nadwierać.

Ale tylko na oko sądzić można, że tego rodzaju gra jest „zajęcia świetlicowe”. Wymagają jednak dwóch zwykłych krzesel i małego stolika. Potrzebne były pieniądze. Fakt szczególnie ważny: sytuacja przedstawiała się bowiem tak: jeżeli wygrywał pan kierownik — nie przysychała gazeta; gdyż pan listonosz nie chciał własnej kieszeni nadwierać.

Ale tylko na oko sądzić można, że tego rodzaju gra jest „zajęcia świetlicowe”. Wymagają jednak dwóch zwykłych krzesel i małego stolika. Potrzebne były pieniądze. Fakt szczególnie ważny: sytuacja przedstawiała się bowiem tak: jeżeli wygrywał pan kierownik — nie przysychała gazeta; gdyż pan listonosz nie chciał własnej kieszeni nadwierać.

Ale tylko na oko sądzić można, że tego rodzaju gra jest „zajęcia świetlicowe”. Wymagają jednak dwóch zwykłych krzesel i małego stolika. Potrzebne były pieniądze. Fakt szczególnie ważny: sytuacja przedstawiała się bowiem tak: jeżeli wygrywał pan kierownik — nie przysychała gazeta; gdyż pan listonosz nie chciał własnej kieszeni nadwierać.

Ale tylko na oko sądzić można, że tego rodzaju gra jest „zajęcia świetlicowe”. Wymagają jednak dwóch zwykłych krzesel i małego stolika. Potrzebne były pieniądze. Fakt szczególnie ważny: sytuacja przedstawiała się bowiem tak: jeżeli wygrywał pan kierownik — nie przysychała gazeta; gdyż pan listonosz nie chciał własnej kieszeni nadwierać.

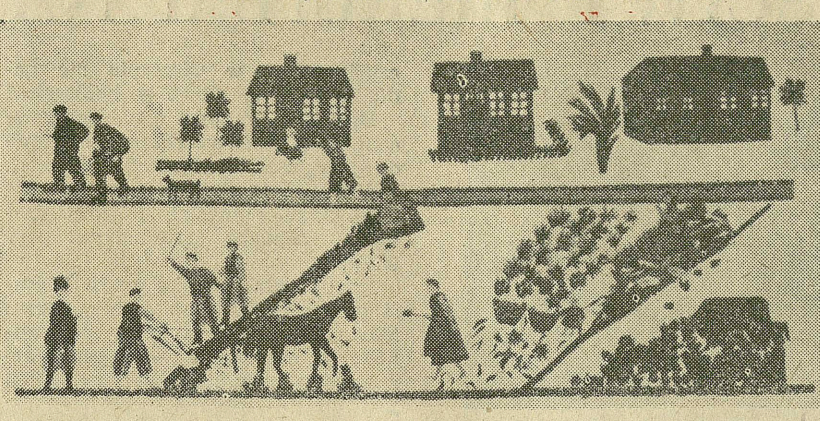
Ale tylko na oko sądzić można, że tego rodzaju gra jest „zajęcia świetlicowe”. Wymagają jednak dwóch zwykłych krzesel i małego stolika. Potrzebne były pieniądze. Fakt szczególnie ważny: sytuacja przedstawiała się bowiem tak: jeżeli wygrywał pan kierownik — nie przysychała gazeta; gdyż pan listonosz nie chciał własnej kieszeni nadwierać.

Ale tylko na oko sądzić można, że tego rodzaju gra jest „zajęcia świetlicowe”. Wymagają jednak dwóch zwykłych krzesel i małego stolika. Potrzebne były pieniądze. Fakt szczególnie ważny: sytuacja przedstawiała się bowiem tak: jeżeli wygrywał pan kierownik — nie przysychała gazeta; gdyż pan listonosz nie chciał własnej kieszeni nadwierać.

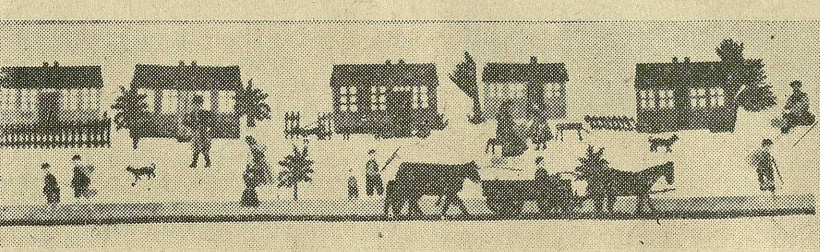
Ale tylko na oko sądzić można, że tego rodzaju gra jest „zajęcia świetlicowe”. Wymagają jednak dwóch zwykłych krzesel i małego stolika. Potrzebne były pieniądze. Fakt szczególnie ważny: sytuacja przedstawiała się bowiem tak: jeżeli wygrywał pan kierownik — nie przysychała gazeta; gdyż pan listonosz nie chciał własnej kieszeni nadwierać.

WYCINANKI TEMATYCZNE

Wycinanki tematyczne Marii Kołaczynskiej. Otrzymała ona na Konkursie Twórczości Ludowej nagrodę Centralnej Rady Spółdzielczej za najlepszy z cyklu na temat socjalistycznej przebudowy wsi. Foto W. Piotrowski



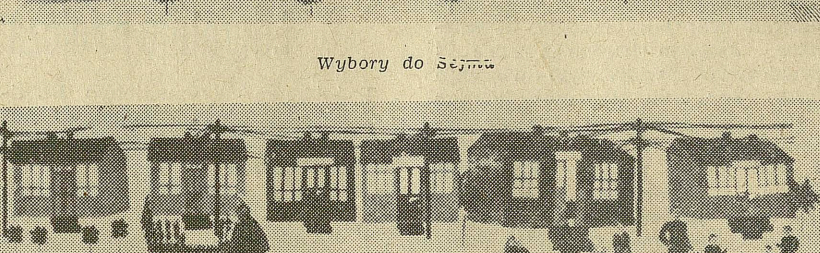
Spór o miode.



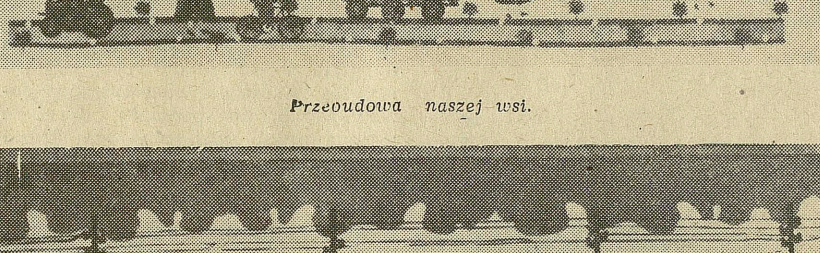
Wies w okresie kapitalizmu.



Wybory do Sejmu.



Przedmowa naszej wsi.



Na spółdzielczych polach.



Pierwsze nasze oasiawy.



Dzielną trójką.

Walcem kraju trwa mobilizacja organizowana przez wiejski aktyw kulturalny w celu zdobycia jak największej liczby uczestników IV etapu konkursu czytelniczego. Termin zakończenia zgłoszeń jest bliski. Wielka rola w organizowaniu konkursu przypadła młodzieży wiejskiej; wykazuje ona największą inicjatywę.

Piękne i zasługujące na podkreślenie zobowiązanie podjęli członkowie ZMP przy Państwowym Ośrodku Maszynowym w Opatówku, pow. kaliskiego. Na uroczystym zebraniu poświęconym 36 rocznicy Wielkiej Rewolucji Październikowej zobowiązali się oni wstąpić w szeregi TPP-R, pracować jeszcze wydajniej, podnieść poziom nauki i zgłosić swój udział do IV etapu konkursu czytelniczego.

Za przykładem 26 ZMP-owców z koła ZMP, do konkursu zgłosił się także dyrektor POM tow. Władysław Makol i instruktor Wydziału Politycznego, tow. Stanisław Konarski. ZMP-owcy z Opatówka w swoim zobowiązaniu piszą: „Naszym udziałem w IV etapie konkursu chcemy potwierdzić słowa uczestników II Krajowego Zlotu Przodowników Czytelnictwa do Prezesa Rady Ministrów tow. Bieruta:

„Przyrzekamy Ci, że w IV etapie konkursu czytelników uwielokrotnimy ilość jego uczestników, by książka stała się powszechnym chłopskim orężem w walce o postępową wieś, w walce o pokój i socjalizm”.

Systematyczny wzrost czytelnictwa w powiecie inowrocławskim jest rezultatem sumiennej i dobrze zorganizowanej pracy kierownictwa biblioteki powiatowej. Odczuwa ono opiekę 2 biblioteki miejskiej, 8 bibliotek gminnych oraz 120 punktów w gromadach i PGR-ach, co miesiąc organizuje odprawy, na których bibliotekarze wiejscy zapoznają się z nowościami wydawniczymi oraz radzą nad sposobami rozpowszechniania książki na swym terenie.

Zwiększanie się z dnia na dzień liczby czytelników w tym powiecie jest wynikiem stosowania atrakcyjnych form propagandy czytelnictwa, jak organizowanie wystaw, pogadanek, dyskusji oraz dobrej pracy księgonoszy. Docierając do tych gromad, w których jeszcze nie ma punktów bibliotecznych, zachęcają oni chłopów do czytania, dyskutując nad treścią przeczytanych książek.

Wszystkie biblioteki powiatowe w całym kraju powinny włączyć przykład z kierownictwa Biblioteki inowrocławskiej.

SEW,

Kronika kulturalna

Jednym z głównych terenów działalności poznających teatrów jest wieś. Wieloosobowe ekipy zawodowych artystów z Poznania odwiedzają stale spółdzielnie produkcyjne, PGR-y i gromady indywidualne położone niekiedy w najdalszych zakątkach województwa. Ostatnio zorganizowano w Poznaniu teatr zespołu „Kuznica”. Zadaniem tego zespołu jest udzielanie stałej i systematycznej pomocy wiejskim zespołom artystycznym, świetlicom i ochotniczym zespołom amatorskim przy zakładach pracy. W skład „Kuznicy” weszło, oprócz kilku pracowników technicznych poznających teatrów, 5-ciu aktorów Państwowego Teatru Polskiego w Poznaniu, oraz 15 aktorów-amatorów spośród zespołów ochotniczych. Zespół ten już przystąpił i wystawił sztukę Wojciecha Bogusławskiego pt. „Henryk VI na łowach”.

Nowopowstały zespół, którego kierownikiem został znany artysta Państwowego Teatru Polskiego w Poznaniu Lucjan Rabski będzie wyjeżdżał stale do miasteczek powiatowych i świetlic gminnych, gdzie organizowane będą pokazy próby sztuk teatralnych, połączonych z omawianiem ich problematyki. Poza tym „Kuznica” udzielać będzie pomocy instrukcyjno-technicznej przy urządzaniu scen, przygotowaniu dekoracji itp.

Piękna inicjatywa poznających artystów i pracowników teatru niech będzie wzorem dla wszystkich artystów z teatrów naszego kraju.

W

Biblioteka przy Wiejskim Domu Kultury w Syczach miała do niedawna kilku czytelników. Dziś biblioteka w Syczach ma 230 stałych czytelników, z których 100 zgłosiło się do IV etapu konkursu czytelniczego. Liczba ta — dzięki inicjatywie koleżanek Libkowej i Spiradówny — stale się powiększa. Różnymi sposobami wyszły one z książką naprzeciw czytelnika, zdolawszy go zainteresować i pozyskać dla niej.

Indywidualne rozmowy na temat ciekawej książki, posługiwanie się książką przy wyjaśnianiu niektórych problemów, zjednały niejednego czytelnika. Libkowa i Spiradówna często dostarczają książek chorým. Syczki Dom Kultury popularyzuje książkę nie tylko w najbliższych Syczach i w Modlinie, lecz i w odległym Giebułtowie, Wielkiej Wsi, Modniczkach i innych miejscowościach. Zorganizowano w nim zespoły czytelnice, mające już swoich przodowników. Szczególnym powodzeniem cieszą się książki i broszury rolnicze; ich czytelnicy są stałymi uczestnikami zajęć samokształceniowych. Zorganizowali oni kilka mizczurynowskich, które prowadzi 16 poletek doświadczalnych, hodując najrozmaitsze gatunki pszenicy.

Organizatorzy IV etapu konkursu! Zastosujcie doświadczenia Waszych koleżanek z Sycz, a wtedy książka popłynie szerokim strumieniem do pracujących chłopów.

W

W całym kraju trwa mobilizacja organizowana przez wiejski aktyw kulturalny w celu zdobycia jak największej liczby uczestników IV etapu konkursu czytelniczego. Termin zakończenia zgłoszeń jest bliski. Wielka rola w organizowaniu konkursu przypadła młodzieży wiejskiej; wykazuje ona największą inicjatywę.

Piękne i zasługujące na podkreślenie zobowiązanie podjęli członkowie ZMP przy Państwowym Ośrodku Maszynowym w Opatówku, pow. kaliskiego. Na uroczystym zebraniu poświęconym 36 rocznicy Wielkiej Rewolucji Październikowej zobowiązali się oni wstąpić w szeregi TPP-R, pracować jeszcze wydajniej, podnieść poziom nauki i zgłosić swój udział do IV etapu konkursu czytelniczego.

Za przykładem 26 ZMP-owców z koła ZMP, do konkursu zgłosił się także dyrektor POM tow. Władysław Makol i instruktor Wydziału Politycznego, tow. Stanisław Konarski. ZMP-owcy z Opatówka w swoim zobowiązaniu piszą: „Naszym udziałem w IV etapie konkursu chcemy potwierdzić słowa uczestników II Krajowego Zlotu Przodowników Czytelnictwa do Prezesa Rady Ministrów tow. Bieruta:

„Przyrzekamy Ci, że w IV etapie konkursu czytelników uwielokrotnimy ilość jego uczestników, by książka stała się powszechnym chłopskim orężem w walce o postępową wieś, w walce o pokój i socjalizm”.

Systematyczny wzrost czytelnictwa w powiecie inowrocławskim jest rezultatem sumiennej i dobrze zorganizowanej pracy kierownictwa biblioteki powiatowej. Odczuwa ono opiekę 2 biblioteki miejskiej, 8 bibliotek gminnych oraz 120 punktów w gromadach i PGR-ach, co miesiąc organizuje odprawy, na których bibliotekarze wiejscy zapoznają się z nowościami wydawniczymi oraz radzą nad sposobami rozpowszechniania książki na swym terenie.

Zwiększanie się z dnia na dzień liczby czytelników w tym powiecie jest wynikiem stosowania atrakcyjnych form propagandy czytelnictwa, jak organizowanie wystaw, pogadanek, dyskusji oraz dobrej pracy księgonoszy. Docierając do tych gromad, w których jeszcze nie ma punktów bibliotecznych, zachęcają oni chłopów do czytania, dyskutując nad treścią przeczytanych książek.

Wszystkie biblioteki powiatowe w całym kraju powinny włączyć przykład z kierownictwa Biblioteki inowrocławskiej.

SEW,

*) Z. Tomicki „Wesołych opowiadań”, przygotowanych do druku.

Redaktor naczelny — JAN ALEKSANDER KRÓL
Redakcja Komitet
Adres administracji: Warszawa, ul. Wiejska nr 12, tel. 6-00-81.
Adres redakcji: Warszawa, pl. Starynkiewicza nr 1.
Telefony: Red. Nacz. 863-86, Redakcji 800, wewnątrz 13, 42, 70.
Warunki prenumeraty:
mies. — 4,80 zł, kwartalnie — 13,80 zł, półrocznie — 27,60 zł, rocznie — 55,20 zł.
Zamówienia i wpłaty na prenumeratę przyjmują wszystkie urzędy pocztowe oraz listonosze.
RS/W „PRASA”, Warszawa, ul. Marszałkowska 3/5 4-3-22112